ROK I. Nr. 30. **10.000 zł. nagrody** 18 sierpnia 1929 r.

7 DNI

CENA 50 GR

Rejentalnie stwierdzony kła[?]d: 30.000 egzemplarzy.

TYGODNIOWE PISMO ILUSTROWANE



Szczęść Boże!... (Photo-Plat).

„New York Times" w Warszawie

(WYWIAD Z WICE PREZESEM „NEW YORK TIMES", P. ARTUREM HAYS SULZBERGEREM)

— Mr. Sulzberger?...

— Yes. Who is speaking?...

Umawiamy się na następny dzień i — niech wolno mi będzie podkreślić ten charakterystyczny szczegół — przychodzę z 5-minutowem opóźnieniem, które zawdzięczam strajkowi taksówek, — p. Sulzbergera już jednak nie zastaję w domu. Nadzwyczajna punktualność, zaleta, do której tak wielce powinniśmy dążyć.

Stawiam się nazajutrz na godzinę, pozostawioną mi na kartce, tym razem punktualnie. Ani chwili nie czekam—gospodarz wychodzi z miłym uśmiechem na moje spotkanie i odrazu zaczynamy rozmowę.

— Nie poruszajmy wrażeń moich o Polsce — oświadcza na wstępie pan Sulzberger. — Za krótko bawię tu u was, żebym mógł coś ciekawego powiedzieć. Stolica wasza podoba mi się.

Miasto musi być bardzo przyjemne — jedno tylko, to brak zieleni. Ludzie?... Wie pan, co mnie najwięcej uderzyło, to to, że Polska jest krajem rządzonym przez ludzi młodych, którzy niechybnie łatwiej są skłonni do przejmowania się współczesnemi metodami organizacji i pracy. Polska jest krajem o wielkiej przyszłości.

— Czy mógłby mi pan opowiedzieć cośkolwiek na temat organizacji New Yorku Times'a? Czytelnicy nasi, którzy w każdym numerze „7 Dni" widzą po kilkadziesiąt fotografij z podpisem panów firmy, ciekawi będą dowiedzieć się czegoś o was.

— Bardzo chętnie — oświadcza mój rozmówca, sięgając do notatek, z których odczytuje mi następujące, astronomiczne niemal cyfry, dotyczące sprawozdania New York Times'a za r. 1928.

Dowiaduję się zatem, iż New York Times założony w r. 1851 przeżywał różne konjunktury, nigdy jednak nie cofał się wstecz, a od chwili, kiedy większość akcyj dostała się do rąk p. Adolfa Ochsa, szybko zawojowuje rynek.

Jeśli więc nakład wynosił 30 lat temu 25.726 egzemplarzy dziennie, to w 10 lat później wzrósł do 158.682 egzemplarzy — obecnie zaś wynosi 422.735 egz. w dnie powszednie i 714.635 w niedziele i święta. Niedzielny ten numer, objętości zgórą 200 stron dużego formatu zawiera bardzo bogatą i różnorodną treść, ujętą w formę ilustrowanych dodatków. Lektura na cały dzień — za 2 centy!

Linja rozrostu poczytności pisma zbiega się z postępem, osiągniętym w dziedzinie reklamy, która wynosi obecnie zgórą 30 miljonów wierszy, co stanowi o 10 miljonów wierszy więcej, niźli w każdem innem piśmie amerykańskiem.

Olbrzymi taki nakład pochłania oczywista, masę papieru. Roczne zapotrzebowanie wynosi 110 908 ton — 30 wagonów dziennie, wobec czego wybudowano w Kanadzie, jako w kraju obfitującym w bogactwa leśne, papiernię, wokoło której wyrosło całe miasto.

New York Times zatrudnia 3.383 ludzi, z których 537 stanowią pracownicy redakcji, 889 — administracji, 1885 — robotnicy drukarscy i inni, 72 — pomocniczy personel. Pracownicy ci otrzymują 163.625 dolarów tygodniowo, wydawnictwo zaś wykłada ponadto na różne cele socjalne 444 000 dolarów rocznie.

O olbrzymim ruchu, który panuje w wydawnictwie świadczą wreszcie cyfry: 100.000 słów, otrzymywanych w ciągu dnia przez telegraf i 7.637 połączeń telefonicznych, a wreszcie 7.000 listów dziennie.

W hali maszynowej zakładów drukarskich stoi 38 maszyn i 12 do rotograwjury. Opłaty pocztowe w ciągu roku przekraczają kwotę 850.000 dolarów

— Tajemnica naszego powodzenia — zauważa z uśmiechem mój rozmówca — zawarta jest w haśle, które codziennie podajemy w nagłówku pisma: „All the news that's fit to print". Znajdzie pan na naszych łamach wszystko, co nadaje się do publikacji.

Wszystko — byleby zasięgnięte z pewnego źródła, stwierdzone dowodami — wszystko, byleby uczciwie, bez przesady i bezstronnie. Byliśmy pierwszymi z Peary'm, Byrdem i Amundsenem na biegunach, pierwszymi z Lindbergiem, Chamberlinem i Byrdem w przestworzach, nad Oceanem — staramy się być pierwszymi wszędzie, gdzie wydarzy się cośkolwiek godnego uwagi. Korespondenci nasi, rozsiani po całym świecie, nie szczędzą trudów i zabiegów około zdobywania ciekawych informacyj, czego przykładem — chlubna działalność naszego korespondenta warszawskiego, p. Jerzego Szapiro, dzięki któremu czytelnicy nasi są dokładnie powiadomieni o przebiegu życia w Polsce.

Poważne stanowisko, które zajmujemy w prasie, dzięki bacznemu przestrzeganiu zasad etyki i solidnemu filtrowaniu wiadomości, zyskało nam olbrzymią popularność. Wystarczy spojrzeć na listę nazwisk tych ludzi, co w dniu naszego 75 letniego jubileuszu nadsyłali nam serdeczne słowa zachęty — znajdzie pan wśród tych nazwisk Znajdzie pan wśród tych nazwisk ze świata polityki, finansów i nauki, kapłanów i rabinów, przedstawicieli wszystkich wydawnictw amerykańskich — ludzi wszelkich opinji, należących do różnorodnych sfer towarzyskich, z Ameryki i z Europy.

Pozwolę sobie dorzucić na zakończenie uwagę o polskiej prasie. Stosunki te znam z Ameryki, gdzie pracujemy na równych szansach— znaczne nakłady przynoszą olbrzymią i doskonale opłacaną reklamę.

Inaczej musi być u was.

Niepomyślne konjunktury gospodarcze tamują rozwój nietylko kolportażu ale psują również ceny reklam. Dusicie się. Nic dziwnego; jesteście wszak za młodym jeszcze organizmem, o ile mi jednak wiadomo poczyniliście znaczne postępy, również i w tej dziedzinie. Jeszcze kilka lat, a z pewnością wydawnictwa o małych nakładach przekonają się, iż prowadzą bezcelową walkę o byt, większe zaś, w miarę poprawy warunków gospodarczych, zyskują coraz liczniejsze rzesze czytelników. Nie wpadajcie tylko w przesadę, nie dawajcie się unosić łatwem powodzeniem, nie obniżajcie waszego poziomu do upodobań ulicznej gawiedzi.

Dziękuję p. Sulzbergerowi za tyle ciekawych wiadomości, świadczących o tem, jak dzięki wytrwałej i energicznej pracy można dojść do imponujących wyników, a dzięki rzadko niestety spotykanemu w świecie prasy poczuciu etyki i prawdy zdobyć powszechne zaufanie społeczeństwa.

Er.



à 7 dni
avec meilleurs
souvenirs
Arthur Hays Sulzberger

Redaktor Eugenjusz Rafalski, żegnał na dworcu w imieniu „7 DNI" wiceprezesa New York Times'u, p. Artura Hays Sulsberger, który w przejeździe do Moskwy zatrzymał się na kilka dni w naszem mieście. Na ilustracji widzimy (od prawej ku lewej) pp. Artura Sulzbergera, red. E. Rafalskiego, Arturową Sulzbergerową, dyr. handlowego New York Times'u, Lewisa Wiley i warszawskiego korespondenta, Jerzego Szapiro.

Dr. Hugo Eckener, dowódca niemieckiego Zeppelinu, po szczęśliwem wylądowaniu w Ameryce wraca do Europy.



Józef Maciejewski, jeden z poczytniejszych współczesnych autorów napisał ostatnio powieść p. t. „Ks. Józef".



Małżonka francuskiego ministra spraw zagranicznych Poincare, który ustąpił ze swego stanowiska.



Dr. Karol Auer, wynalazca lampy gazowej oraz elektrycznej zmarł na zamku Welsbach w wieku 72 lat.



Jego Ekscelencja Hideo Kodama został niedawno mianowany generał - gubernatorem półwyspu Koreańskiego.



Delegat angielski winowajca nieporozumień na konferencji reparacyjnej w Hadze, Snowden w karykaturze zagr.



Belgijski prezydent rady ministrów Jasper przewodniczył tajnemu posiedzeniu na konferencji w Hadze. (Atlantic).



Na francuskim 160-tonnowym okręcie Alcyon otwarto pierwszą szkołę marynarską dla kobiet. Na fotografji widzimy trudne ćwiczenia „marynarek" na takelunku. (Wide World)



Angielski minister spraw zagranicznych Henderson wychodzi z gmachu konferencji w Hadze. (Atlantic).



Start na paryskiem lotnisku Orly eskadry międzynarodowej, biorącej udział w rajdzie dokoła Europy. Eskadra odwiedziła Warszawę w ubiegłym tygodniu. (The New Jork Times).



Na dworcu kolejowym w Nowym Sączu tłumy publiczności oczekiwały na specjalne pociągi przybywające z uczestnikami tegorocznego zjazdu legjonistów. (Światowid).



W tygodniu ubiegłym odwiedził Polskę, oraz zwiedził P. W. K. minister rumuński Madgearu. Na fotografji widzimy miłego gościa składającego wizytę min. Czapskiemu. (Światowid).

M. B. LEPECKI

O człowieku, który stał się ptakiem

W roku 1926 rzucił mnie mój los włóczęgi na szlak, wiodący z nad rzeki Paragwaju ku Kordyljerom. Wschód Boliwji, którędy ów szlak wiedzie, przedstawia sobą nieprzejrzane równiny stepowe, pocięte wstęgami galerjowych lasów dziewiczych. Trzydziestu dni potrzeba, aby przedrzeć się przez rozległe bezdroża, dzielące małą osadę Puerto Suarez od Andyjskiego podgórza. Na tej olbrzymiej przestrzeni koczują liczne hordy indyjskie, a osiedla ludzi pragnących uchodzić za białych spotyka się bardzo rzadko. Najliczniej zgrupowali się „cywilizowani" na niewysokich górach Sierra Cochis. Tam to, w niewielkiem „pueblo", pokazano mi pewnego razu metysa, Manuela Acostę, rażonego okrutną chorobą nerwową. Temu nieszczęsnemu człowiekowi wydawało się, że jest istotą skrzydlatą, ptakiem. Mój przewodnik, który znał wszystkich na tysiąc kilometrów i wiedział o wszystkiem, co w palmarach wschodniej Boliwji działo się w okresie ostatnich kilkunastu lat, opowiedział mi o nim ciekawą historję.

*

Zawiał właśnie duszny pampero, gdy Manuel dostrzegł na skraju galerjowego lasu przyczajonego nieruchomo na drzewie dzikiego indyka. Pochylił się natychmiast ku ziemi, skrył w wysokich burzanach i jął zwolna czołgać się ku upatrzonej ofierze. Trwało to długo, lecz zostało uwieńczone pomyślnym rezultatem. Padł strzał. Indyk zatrzepotał skrzydłami i zaczepiony o pnącze, zawisł, wysoko nad ziemią. Manuel Acosta zaklął. Nie namyślając się długo, odstawił dubeltówkę i począł wspinać się na wysoki pień, aby zdobycz dosięgnąć. Już niemal dotykał wydającego ostatnie tchnienie ptaka, gdy nagle zatrzeszczała i trzasła gałęź, której się trzymał. Manuel Acosta spadł z wysokości piętnastu metrów. Nie jest to wysokość duża, ale, w każdym razie, wystarczająca, by połamać sobie członki. Manuel nie połamał sobie ich wszystkich, trzasło mu coś tylko w jednej nodze. Zemdlał z bólu. Leżał nieruchomo przez długą chwilę. Po pewnym czasie ocknął się i począł zastanawiać się nad swoją sytuacją. Co robić? Bezwładna noga nie pozwoliłaby ujść nawet kilometra, a co dopiero mówić o dwóch milach z okładem, jakie dzieliły myśliwca od najbliższej chaty ludzkiej. Alarmować strzałami? Naboi miał mało, a tylko dłuższa kanonada mogłaby zwrócić czyjąś uwagę. Więc co? Na głowie Acosty zjeżył się nagle włos. Czyż ma umrzeć na stepie z bólu i głodu? Ogarnęło go przerażenie. Przecież może minąć tydzień i dwa, a nikt nie zjawi się na skraju tego dziewiczego boru, zamieszkanego jedynie przez dzikiego zwierza. Przerażenie dodało mu sił. Zwlókł się z ziemi, podparł dubeltówką i ruszył. Nie uszedł daleko. Już po paruset krokach upadł, wyczerpany i napółprzytomny z bólu. Schwyciło go za gardło pragnienie. Żeby choć kropla wody... Ale step był suchy, jak wypalona kawa. Deszcze nie padały już dawno. Drobne kałuże i rzeczki, liczne po burzach i wylewach, wyschły już od miesiąca. Tylko pampero wiał nieustannie i jeszcze więcej wysuszał spalony słońcem step. Manuel Acosta oparł się o napotkany wysoki kopiec termitów i spojrzał. Naokoło, na wiele kilometrów, żółciła się wyschła równina, na której, w odległości dobrych dwóch mil, zieleniły się kępy palm. Tam, za temi palmami, leżała jego Estancia. Tak blisko. Ileż to razy odbywał tą drogę w przeciągu półtorej godziny. Cóż znaczył dla niego, młodego i zdrowego mężczyzny, taki spacer. Ogarnęła go rozpacz. Co tu będzie? Przecież on naprawdę może zginąć tu, w tym stepie, a nikt nie przypuści nawet, że potrzebuje pomocy. Służba będzie sądziła, że pojechał do miasteczka i zabawia się w oberży, jak zwykł to często czynić.

Obmacał złamaną nogę.

Obrzmiała już i bolała coraz więcej. Próbował pełzać na czworakach. Po półgodzinnym marszu zdarł sobie skórę na dłoniach i na kolanach, a odległość zmniejszyła się nie więcej, jak o ćwierć kilometra. Zielane palmy prawie jednakowo daleko powiewały długiemi warkoczami. Przestał zważać na ból i wlókł się niezdarnie dalej. Stracił zupełnie rachunek czasu. Chwilami zdawało mu się, że ta beznadziejna wędrówka trwa już całe tygodnie, czasami zaś, przeciwnie, miał wrażenie, że nie spadł wcale z drzewa, a tylko skrada się cicho między trawami ku przyczajonemu na drzewie indykowi. Opadł z sił. Ułożył się nieruchomo na plecach. Przed jego oczami roztoczyło się wspaniałe, lazurowe niebo zwrotnika. Czystego błękitu nie przykrywała najmniejsza chmurka. Patrzał w to piękne niebo z głuchym żalem. Czemu nie pokryją go chmury, czemu nie chce zwilżyć spragnionej ziemi i jego warg? Nagle wstrząsnął nim dreszcz strachu. Manuel Acosta był człowiekiem napółdzikim i wiedział doskonale, co oznacza widok czarnych sępów, krążących leniwo. Odwieczna legenda powiada, że indyjski bóg Njandedjara obdarzył je zdolnością przeczuwania śmierci. Ilekroć nad człowiekiem, lub zwierzęciem zawiśnie w dżungli, lub na stepie, niewidzialna choćby jeszcze i nieprzeczuwalna śmierć, zaczynają krążyć nad nim te ponure, milczące ścierwojady. I czy to będzie koń, krowa, człowiek, czy pies — jednakowo śmierć jego przeczują i jednakowo w ślad jego podążą. Są jednak ostrożne. Nigdy nie rzucą się, dopóki nie przekonają się dowodnie, że nic im ze strony ofiary nie grozi. Są inteligentne — to też gdy widzą, że ich przyszła ofiara, choć jeszcze żywa, już nie potrafi im żadnej krzywdy wyrządzić — zdarza się, że nie czekają jej śmierci i rozszarpują ją żywcem. Wiedział o tem wszystkiem Manuel Acosta i dlatego zdjęło go śmiertelne przerażenie. Zginąć, to zginąć, mieszkaniec stepu przyzwyczajony jest do myśli o śmierci, ale zginąć w tak okrutny sposób... Tymczasem ścierwojady zbliżyły się już znacznie i zaczęły krążyć nad człowiekiem. Coraz niżej, coraz niżej — zataczały wielkie koła, aż wreszcie odważniejsze zaczęły opuszczać się ku ziemi i siadać na pobliskich drzewach.



Oryginalna łódź na jeziorze Titicaca w Boliwji (ze zbiorów autora).

Taki mają zwyczaj.

Obsiadają ofiarę dokoła i nie spuszczają z niej oczu, czekając cierpliwie dopóki nie straci sił zupełnie. Wtedy dzielą się na kilka partyj i rozpoczynają żer.

Wciąż ich przybywało. Z najdalszych zakątków dżungli, z sąsiednich gór, z podniebnych sfer i przyziemnych krzów zlatywało się ich coraz więcej i więcej. Nie upłynęło dwu godzin, a step zaroił się od niezliczonej liczby sępów. Nie były one napastliwe, przeciwnie, z powagą i godnością czekały chwili, w której instynkt szepnie im: „teraz, teraz nadszedł czas." Spokój niezamącony niczem i cisza panowały w ich szeregach. Czarnym sępom Bóg nie nadał głosu. Są nieme. Ani radość, ani ból, ani głód, ani trwoga — nie potrafią wydobyć z ich dziobów najsłabszego nawet krzyku. Nawet pieśń miłosna im nieznana.

Przy każdym gwałtowniejszym ruchu człowieka oddalały się nieco, ale ilekroć opadał ku ziemi bez czucia, zbliżały się poważnemi krokami ku niemu. Tarły dzioby o napotykane kamienie i twarde kopce termitów. Zapewne ostrzyły je.

Człowiek nie spuszczał z oka potwornych sylwetek sępów, poglądając z rozpaczą na ich ostre pazury i dzioby. Ale ból zagłuszał niepokój i zmuszał do nieruchomego odpoczynku w trawie. Nie tracił jednak jeszcze nadziei. Zaczął obliczać. Gdy będzie posuwał się przez godzinę o kilometr, to najpóźniej o północy dotrze do chaty. Dotrze, o ile będzie się posuwał z „szybkością" kilometra na godzinę, ale co się stanie, gdy zdoła zrobić tylko pół kilometra? Odpowiedź dał mu wielki, parszywy, czarny sęp. Sfrunął tuż koło nóg człowieka i odważnie kroczył ku jego znieruchomiałej sylwetce. Manuel Acosta próbował krzyczeć i krzykiem potwora odpędzić, ale niewiele to pomagało. Ptaszysko szło pewnym krokiem i wyciągało szpony. Człowieka przeszedł dreszcz trwogi. Czyżby to był zaklęty w sępa zły duch indyjski? Schwycił za dubeltówkę i palnął prosto w łeb zbliżającej się bestji. Sępy przeraziły się strzału tylko na chwilę. Nie upłynęło dziesięciu minut, a popowracały już wszystkie i posiadały na poprzednie miejsca. Człowieka ogarnęła złość. Krzyknął donośnym głosem raz i drugi, aby ptaki odstraszyć ponownie. Zerwały się znowu do lotu, pokrążyły kilka chwil w powietrzu i znowu wróciły na swoje miejsca. Ta ich pilność w powrotach zaczęła Manuela Acostę denerwować. Schwycił za dubeltówkę i na nic nie zważając zaczął strzelać. Rychło wyczerpał wszystkie naboje. Zaczął wydawać wtedy nieustanne krzyki. Ale ponure ścierwojady zdawały się nie zwracać uwagi na hałasy i poglądały obojętnym wzrokiem na miotającego się, niegroźnego już dla nich człowieka. A człowieka zaczynało ogarniać szaleństwo. Czuł na swoich oczach setki ostrych, jak widły, dziobów, czuł ból wyjadanego z czaszki mózgu, widział swoje trzewia rozwlekane po stepie i obnażone z ciała żebra. Miotał się bezsilnie i coraz słabsze wydawał krzyki. Sępy spoglądały na niego wyrozumiale, jakgdyby współczując temu jego cierpieniu i jakby mu się wcale nie dziwiąc. Podskakiwały niezdarnie i napół rozwarłszy skrzydła, stulały nagie, parszywe szyje. Człowiek stracił już siły zupełnie. Zaprzestał wysiłków i leżał nieruchomo. Ptaki ośmielały się coraz więcej. Otoczyły go kręgiem i coraz niecierpliwiej i łapczywiej spoglądały na ofiarę. Ale snać w mózgu człowieka powstały nowe obrazy okrutnej śmierci i dodały mu sił, gdyż porwał się znowu do drogi. Na czworakach pełzł przez pokryty kopcami termitów step, a za nim, niczem kondukt żałobny, kroczyły poważnie zwarte kolumny milczących sępów. Nierówny to był wyścig. Z jednej strony niemrawa istota dwunoga, a z drugiej śmigłe ptaki o niestrudzonych skrzydłach. Żółw i samolot. W ostatnich iskrach świadomości Manuela Acosty, mąconych nadchodzącym nieuniknienie obłędem, kołatało się okrutnie: ulegnie w walce ze stworzeniami nieporównanie od niego, człowieka, niższemi, ulegnie w walce z ptakami.

Pewność ta przyprawiała go o szaleństwo. Uniósł się na zdrowej nodze i śmiesznie podskakując rzucił się do walki ze skrzydlatemi grabarzami. Ale w tym momencie wydało mu się, że sam stał się nagle milczącym, czarnym sępem. Rozwarł szeroko ramiona i jął niemi wymachiwać, jakby sposobiąc się do lotu. Padł wreszcie i jął uderzać głową o ziemię, jakgdyby rozdziobując jej łono i wyjadając trzewia...

Tak go znaleziono w kilku chwil później.

Na stepach wschodniej Boliwji byki służą za wierzchowce (ze zbiorów autora).

Groźny „głos ziemi"

Mimo oszałamiającego wprost postępu wynalazczości, która z każdym dniem niemal wyrywa nową tajemnicę przyrodzie, ujarzmiając w kierunku twórczym jej siły — rozmiar klęsk, nawiedzających kulę ziemską zdaje się zwiększać, burząc i niwecząc co pewien czas wyniki pracy ludzkiej: Rzeki zalewają całe okolice, trąby powietrzne i nawałnice burz sieją straszliwe spustoszenie... Najgroźniejszym wszakże żywiołem, budzącym dreszcz przerażenia wśród wielu ludów, osiadłych w okolicach o pochodzeniu wulkanicznem, są wybuchy tych wulkanów i trzęsienia ziemi. Jedno drgnienie, skorupy ziemskiej, wstrząs góry wulkanicznej, ziejącej pióropuszem gęstych dymów, potoki lawy, sunące niewstrzymanym pędem, groźne kamieniosypy śmiercionośnych odłamów skalistych — wszystko zdaje się sprzysiądz przeciw nieprzytomnej ze strachu ludności, która pędzi na oślep przed siebie, pozostawiając na pastwę losu tysiące ofiar zagrzebanych wśród rumowisk zniszczonego mienia. „Dzinsin"... wyraz ten szeptem wymawiają dzieci japońskie, które od kolebki oswojono z myślą, iż lada dzień szczyty gór, spowite w pióropuszu obłoków i skrzące się bielą śniegów zawrzeć mogą strasznym gniewem i zniszczyć cały kraj.



Najstraszliwsze zjawiska podczas wybuchu wulkanów stanowią zwały gorejących gazów i pary, które podobnie do trąby powietrznej, wciągają całe bloki skaliste i pędzą z szybkością huraganu. Temperatura ich w chwili wyjścia z krateru jest nie mniejsza 1000 stopni, a wysokość dochodzi do 4.000 m. Ilustracja nasza przedstawia groźny widok wybuchu Sakurajimy (1914)

„Dzinsin"... W kronikach Japonji zapisano wiele dat straszliwych, po których zdawałoby się, że kraj Kwitnącej Wiśni nie zdoła się podźwignąć. „Głos ziemi", jak mówiąc kapłani buddyjscy i sinto nie dają zasnąć duszy Yamato, hartując ją w walce z nieszczęściem. Pamiętnych tych lat (mówiąc chociażby o dziejach nowożytnych) jest wiele: 1854, 1855, 1891, 1894, 1896, 1923, 1927 — straszne lata, w których notowano setki tysięcy ludzkich ofiar i setki tysięcy zniwelowanych domostw w tym kraju, leżącym u stóp wygasającego, a wciąż jeszcze groźnego Fudzijamy.

Zjawiska tego groźnego żywiołu zostały ujęte w specjalnej nauce, zwanej wulkanologją, której poświęciło się szereg najwybitniejszych sił naukowych — profesorowie A. Brun, M. P. Lemoine, Jaggar i wielu innych.

Uczeni ci, pracując w specjalnie założonych obserwatorjach na wulkanach, pogłębili teorję o ciągłych wahaniach, które się odbywają pod skorupą ziemską. Temperatura tych podziemnych warstw, jak w wypadku Krakatoa dochodziła do 883 st., Wezuwjusza i Stromboli — do 1000 st., a Kilauea — do 1300 st., powoduje ciśnienie, wyrzucające potoki gorejącej lawy na powierzchnię. Wybuchy wulkaniczne bywają zawsze poprzedzone trzęsieniem ziemi, które daje się zaobserwować dzięki czułości aparatów zwanych seismografami. Inna metoda obserwacji polega na działaniu magnetycznem lawy na niezmiernie czułe igły, umieszczone u krateru wulkanu. Trzecia metoda wreszcie polega na wrażeniach słuchowych, osiąganych zapomocą mikrofonów.

Uczony działa tu podobnie jak lekarz, który bada chorego, przykładając ucho do ciała w niebezpiecznych miejscach. I tak samo jak lekarz uczony nie poprzestaje na zanotowaniu tych wrażeń słuchowych, lecz pragnie również znaleźć ich potwierdzenie drogą zmierzenia temperatury, która, jak powiedzieliśmy wyżej, odgrywa pierwszorzędną rolę, gdyż wywołuje groźne ciśnienie i wybuch.

Badania te są połączone z wielkiem niebezpieczeństwem. Zdarza się niejednokrotnie, iż uczeni, poświęcający się tej pracy, przypłacają życiem pragnienie swe ostrzeżenia ludności. W ostatnim wypadku, który zanotowano na Jawie (Indjen gazy, wydobywające się z krateru, zabiły 4 obserwatorów.

Cały system czułej tej aparatury rozmieszczony jest dookoła wulkanu i łączy się ze sobą siecią elektryczną, prowadzącą do centralnego obserwatorjum.

Uczony, którego pieczy powierzono tę placówkę posiada dyktatorskie niemal prawa rządzenia w zagrożonej okolicy. Rozkazom jego podlega administracja lokalna, która zajmie się ewakuowaniem ludności w chwili niebezpieczeństwa. W ten sposób udało się ściśle oznaczyć datę katastrofy, która nastąpiła w r. 1914 na Jawie, a skoordynowanie tej obserwacji z zarządzeniami władz ograniczyło straty w ludziach do 35 ofiar, podczas gdy brak należytego dozoru w r. 1923 kosztował Japonję 400.000 ofiar.

Nie wystarczy atoli uprzedzić moment wybuchu i zarządzić w odpowiednim czasie ewakuację. Rozwój techniki współczesnej pozwala na zarządzenie skutecznej obrony przed grożącym kataklizmem. Przykładem — praca podjęta przez władze holenderskie, po strasznym wybuchu Kloetu (6.000 ofiar, spalonych w potokach wrzącej wody z jeziora wulkanicznego, która przelała się poza burty krateru). Celem zapobieżenia podobnemu wypadkowi pomyślano o opuszczeniu poziomu wód w jeziorze, drogą budowy odpływowego tunelu.

Sieć kanałów dookoła krateru może również odprowadzić gorejącą lawę w okolice niezamieszkałe.

Zajęto się wreszcie opracowaniem specjalnego typu budowy domostw, któreby mogły się oprzeć deszczowi popiołów wyrzucanemu z niektórych wulkanów, jak naprzykład z Wezuwjusza. Postanowiono, iż najwłaściwiej będzie stawiać dachy śpiczaste i o silnym spadku, podobne do tych, które spotykamy w okolicach górskich, zagrożonych niebezpieczeństwem obrywania się zwałów śniegowych.

Ciekawy przykład budownictwa, zastosowanego do groźby kataklizmów, daje nam Japonja. Dzięki mądrości i wiekowemu doświadczeniu architektów zbudowano przepiękną w linji dzwonnicę, zwaną „Ekanetsuki", której żadne trzęsienie ziemi nie zdołało obalić. Kunsztowny splot spiętrzonych lekkich, cudnych daszków, okapów i ścian łączy się na górze ze słupem, będącym osią środkową wieży, zawieszonym u jej szczytu, podobnie do wahadła lub pionu; schodzi on, nie dotykając ziemi, niżej niż boczne fundamenty i spada w głębokie, do studni podobne wydrążenie, stanowiąc tym sposobem dolną przeciwwagę górnej strzelistości budowy, ruchem swym odwrotnym do kołysania całości zapobiega pęknięciu bocznych ścian. Bramy świątyń japońskich oraz podmurza zamków opierają się również parabolicznym swym profilem wahaniom.

Uczony niemiecki, Dr. Sapper (Wissburg) stwierdził ponadto konieczność przeprowadzania badań geograficzno - topograficznych okolic wulkanicznych. Należałoby, zdaniem uczonego, unikać rozbudowy osiedli w dolinach, gdzie nietylko lawa, ale i kamieniosypy mogą spowodować straszne spustoszenie. Niebezpieczeństwo zaś tumanów popiołów da się uniknąć, dzięki badaniom wiatrów w zagrożonych okolicach i odpowiedniemu rozmieszczeniu domostw.

* * *

Zanotować należy na zakończenie, iż usiłowania ratownicze ludności przed klęskami zostały ześrodkowane w r. 1921 dzięki inicjatywie italskiego senatora Ciraolo w instytucji międzynarodowej, powstałej na gruncie X-ej konferencji Czerwonego Krzyża. Innym dobroczyńcą ludności w tym kierunku jest Raoul Montandon, który w roku 1924 założył organ perjodyczny p. t. „Materiaux pour l' Etude des Calamites", zasilany pracami najwybitniejszych sił naukowych. Akcja ta jest równoległa z wydaniem przez Czerwony Krzyż mapy światowej kataklizmów, opracowanej staraniem zespołu 1.200 uczonych.

Er.

Lejkowaty krater wulkanu obstawiony jest staraniem uczonych całą siecią skomplikowanej i niezmiernie czułej aparatury, która ostrzeże obserwatorów przed mogącym nastąpić wybuchem. Energiczne zarządzenia władz zdołają ocalić dziesiątki tysięcy ludzi.

Co słychać na świecie?

Konferencja haska rozpoczęła się złą wróżbą. Snowden oświadczył, że aczkolwiek uznaje w ogólności plan Younga, to jednak pewne szczegóły, dotyczące rozdziału rat pomiędzy wierzycieli muszą być zmienione, ponieważ krzywdzą one Anglję. Stanowisko Snowdena ostatecznie nikogo nie zaskoczyło, gdyż jest powszechnie wiadomą rzeczą, że czy Chamberlain, Henderson, Churchill, czy wreszcie Snowden zasiadając w Fereign Office — to fakt ten polityki angielskiej na zewnątrz nigdy nie zmieni. A linja polityki angielskiej jest od lat znana: iść z tymi, którzy mogą nam zapewnić pewne korzyści gospodarcze, łamać tych, którzy nam ich dać nie mogą. Stąd też „protektorat" nad Niemcami. Atak Snowdena jest dopiero przygrywką. Zobaczymy jak potoczą się dalsze układy.

* * *

Ostatecznie możnaby wybaczyć Snowdenowi żółć z jaką przemawiał podczas otwarcia konferencji haskiej, jeśli weźmiemy pod uwagę, że Anglja zboczyła w ostatnich latach z kierunku, który przyświecał jej od wieków.

Przedewszystkiem więc stara Anglja—„Old England" — zaczyna się kurczyć. Powoli, pomalutku, ale systematycznie. Przykładem tego niechaj będzie ostatnio zawarty układ egipsko-angielski. Na podstawie tego układu zwalnia Anglja między innymi Egipt od okupacji, za wyjątkiem strefy nad kanałem Suezkim. A więc Anglja wycofuje się! Są tam wprawdzie pewne punkty oparcia, na podstawie których Anglja będzie mogła sprawować „opiekę" nad Egiptem w dalszym ciągu, jednak Egipcjanie nie są z tego zadowoleni i możemy ufać, iż znajdą dosyć energji, by — zrobiwszy już tyle dla siebie — przeforsować jeszcze pewne zmiany w pow. układzie. *Ja...el.*

NOWA ZDOBYCZ KOSMETYCZNA.

Zanim zbadano dokładnie budowę skóry i jej przejawy fizjologiczne, posługiwał się ogół bezkrytycznie uniwersalnemi kremami, bez względu na potrzeby danej właściwości cery. Dzięki lekarsko-ksmetycznej wytwórni „Miraculum", rozporządzamy dziś celowo dostosowanemi kremami, o specyficznej skuteczności. Dotychczas odczuwaliśmy dotkliwie brak kremu, o składnikach *odmładzających naskórek.* Lukę tą wypełnił obecnie *krem „Mira" Dra Lustra,* który — wedle mych doświadczeń — stanowi unikat doskonałości i szybkiej skuteczności w dziedzinie tej produkcji. Niezrównany ten krem przeznaczony jest do odsłaniania młodocianej warstwy naskórka twarzy, szyi, gorsu i rąk, wygładzania łuszczącej się cery, dla osób z suchą lub prawidłową cerą. Krem „Mira" jest jedynym dziś kremem, który, bez szkody, zostawiany być może jako pdkład pod puder. Polecić go mogę też mężczyznom do złagodzenia zadrażnieia po ogoleniu. Puder *egzotyczny Dra Lustra* ustala osiągnięty po kremie „Mira" skutek. *Dr. Z. B.*

Tortura luster

Zamaskowany inkwizytor, który siedział przy stole na pierwszem miejscu, rzekł:

— Trwasz więc nadal w bezmyślnym uporze i nie chcesz powrócić na łono Kościoła, choć w miłosierdziu swojem wzywa cię On do siebie. Skazany zostajesz przez nas na pobyt z samym sobą. Przeklinać się będziesz po tysiąc razy, tkwiąc w prochu i popiele — może jednak ogarnie cię skrucha prowadząca do zbawienia duszy!

Nie zrozumiałem tych słów. Mogłem wogóle domyślać się tylko, że jakiejś nieszczęsnej ofierze na torturach musiało się wymknąć moje nazwisko w nadziei ulżenia własnym mękom. Zostałem porwany na ulicy w Madrycie i odprowadzony do więzienia Inkwizycji. Przesiedziałem tam kilka długich miesięcy. Wreszcie wezwano mnie na badanie, z czego byłem niezmiernie uradowany — skończyło się przynajmniej dręczące oczekiwanie i niepewność.

Po badaniu zaprowadzono mnie znów do celi, podobnej do poprzedniej. Był to pokój wielkości około czterech metrów kwadratowych, oświetlony przez małe okienko na suficie. Stało tam nawet łóżko, chociaż w tych murach sen rzadko bywał odpoczynkiem.

Nie pytałem o nic zamaskowanego dozorcę, który zainstalował mnie w nowem więzieniu. Próbowałem to czynić przedtem niejednokrotnie, ale zawsze bez skutku. Sługusi Inkwizycji nie wdają się w rozmowy — żaden nie kiwnął nawet głową.

Ciężkie drzwi zatrzasnęły się. Zostałem sam, rozumiejąc, że mam cierpieć, ale w jaki sposób? „Posiedzisz sam ze sobą". Cóż ostatecznie miały oznaczać te słowa? Przecież siedziałem już od paru miesięcy w odosobnionej celi?!

Ponieważ badany byłem w dzień, a nadchodził już wieczór i nic złego się nie działo, obawy moje zaczęły się zwolna rozpraszać. W końcu, uspokojony, zasnąłem.

O świcie ocknąłem się i mrówki przebiegły mi po plecach. Patrząc w ciemność spostrzegłem, że w nocy zaszła jakaś niepojęta dla mnie, dziwna zmian. Naprzeciwko mego łóżka połyskiwało blade światełko — przedtem go tam nie było. Ściany miały mistyczny koloryt, chwiały się na nich jakieś tajemnicze cienie.

Leżałem doszukując się przyczyny nieoczekiwanego zjawiska. Raptem usłyszałem nad sobą lekki trzask i pokój pogrążył się w zupełnym mroku. Uniosłem głowę i zobaczyłem, że ktoś zasłonił okienko. Tak przeszło parę godzin. Nagle zabłysnął nikły promyk światła — w otworze na suficie ukazały się palce i znikły, pozostawiając zapaloną lampę — nareszcie mogłem ujrzeć...

Co ujrzeć? Mojem pierwszem uczuciem był okropny, dziki strach. Doznałem zawrotu głowy. Miałem wrażenie, że jestem pośród niesamowitego wiru, czy kalejdoskopu... Z każdej strony patrzyły na mnie straszne twarze. Fantastyczne płomyki wahały się wszędzie, gdzie tylko spojrzałem. Zdawało mi się, że moja cela rozszerzyła się, stała się przerażająco nieskończoną, że nie było w niej żadnego oparcia, żadnego wymiaru.

Po pewnym czasie zrozumiałem dopiero co zaszło. W nocy zamieniono ściany, sufit i podłogę celi na lustra. Nawet okno i drzwi przesłonięte zostały powierzchnią zwierciadlaną.

Twarz patrząca na mnie z pięćdziesięciu stron naraz, była mojem własnem obliczem. Odbicia swego nie widziałem tak dawno, że zapomniałem prawie jak wyglądam. Teraz widziałem je — było dzikie i okropne. Twarz okalała rozwichrzona broda, a oczy moje tak się zmieniły, że mimowoli zadałem sobie pytanie, jak jeszcze ich wyraz się zmieni?

Po chwili odważyłem się i spojrzałem dookoła. Nie mogę opowiedzieć, jaki to był przerażający widok! Czy patrzyłem na prawo, czy na lewo, czy w górę, czy na dół — wszędzie w setce fantastycznych póz widziałem siebie. Były figury stojące do mnie twarzą, zwrócone plecami, bokiem. Tu stałem na głowie, tam widziałem się w perspektywie z góry. Połowy, kawałki mojej postaci, poćwiartowane przez brzegi zwierciadeł, majaczyły wszędzie, gdzie tylko zwróciłem swój wzrok!

Bałem się poruszyć, tak potwornem było to falowanie, jakie mój najdrobniejszy odruch wywoływał pośród widziadeł. Jeśli podnosiłem ramię, czynność tę wykonywał cały tłum postaci na rozmaite sposoby.

Próbowałem zamknąć oczy, ale myśl, że otoczony jestem miljonami źrenic ukrytych pod powiekami, jak na złość, zmuszała mnie do patrzenia.

Tak przeszedł cały dzień, dzień okrutnej męki. Czułem, że szereg podobnie spędzonych dni, uczyni ze mnie niebezpiecznego furjata. Przez klapę w suficie spuszczono mi pokarm — nie byłem w stanie nic przełknąć.

Dręczyciele moi zrozumieli widocznie, że koniec nastąpi prędzej, niż leży to w ich planie i następnego ranka obudziłem się w zwykłej, ciemnej celi. Sądzę, że chyba nigdy widok ścian więziennych nie zrobił mi takiej przyjemności. Czując się prawie szczęśliwym spędziłem dzień ten mając nadzieję, że męka moja już się nie powtórzy.

Lecz nie tak „pracowała" Inkwizycja! Z brzaskiem dnia następnego zjawiły się znowu lustra, z tą tylko różnicą, że o ile przedtem miały równą powierzchnię, to teraz zamieniono je na lekko-wklęsłe. Każdy, kto choć raz widział wklęsłe zwierciadło, wie co to znaczy. Odbicia moje przedtem niezliczone, stały się teraz odrażające i powykrzywiane. Olbrzymie usta, zezowate oczy śmiały się przeraźliwie na ścianach i wstrętnie zniekształcone potwory dziwacznie się zmieniały przy najmniejszem mojem poruszeniu. Legowisko samego djabła nie mogło być z pewnością gorsze od tej przeklętej celi. Chciałem rzucić się na podłogę, ale wiedziałem, że spotkam i tu jakąś śmieszną i straszną zarazem karykaturę własnej osoby...

Następny dzień był znów dniem odpoczynku i chociaż nie żywiłem nawet cienia nadziei, postanowiłem z zimną krwią spojrzeć w oczy przeznaczeniu. Prawdopodobnie moi prześladowcy konsekwentnie chcieli doprowadzić mnie do szaleństwa. Znałem ich dobrze i wierzyłem, że jeszcze nie wyczerpali swych piekielnych środków. Gdybym miał jakąś broń, rozbiłbym na tysiące kawałków znienawidzone lustra; niestety łóżko moje składało się ze zwyczajnej deski przymocowanej do muru, a nic innego do osiągnięcia mojego zamiaru nie mogłem wynaleźć.

Uciec? Niemożliwe! Inkwizycja posiadała mocne rygle, a dozorcy odznaczali się wiernością. Myśląc o tem, zwróciłem wypadkowo uwagę na zamknięty otwór w suficie, przez który wstawiano lampę w fatalne poranki. Zauważałem wtedy tylko dłoń — podnosiła ona część lustrzanej tafli i zawieszała lampę na specjalnie tam umocowanym haku. Sufit jednak znajdował się na takiej wysokości, że okoliczność ta nie dawała powodu do najśmielszych projektów...

Mimo wszystko człowiek doprowadzony do ostateczności posiłkuje się rozpaczliwemi środkami. Rano z utęsknieniem czekałem momentu ukazania się ręki. I kiedy ta wsunęła się przez otwór, skoczyłem i chwyciłem się jej kurczowo. Rozległ się bolesny krzyk — zawisłem na wziętej do niewoli kiści... I oto ciało ludzkie runęło z góry na podłogę. Zdążyłem jeszcze w porę uskoczyć w bok — jeden z moich ciemięzców spadł na środek celi. !

Obmyśłałem już przedtem wszystkie szczegóły przedsięwzięcia. Nie tracąc więc ani chwili czasu zdarłem z ogłuszonego dozorcy płaszcz z maską i nałożyłem na siebie. Następnie posadziłem mego więźnia, wskoczyłem mu na barki i dostałem się do klapy prowadzącej na wyższe piętra.

Na szczęście chwyciłem za brzeg otworu i wydostałem się z celi. Krzyk dozorcy przebrzmiał bez echa tam, gdzie często rozlegały się jęki i przekleństwa. Starannie zamknąłem klapę za sobą. Reszta ucieczki udała się pomyślniej i łatwiej, niż się spodziewałem. Zawdzięczałem to poczęści masce, a po części ślubowi milczenia, jaki składali słudzy Inkwizycji. Spotkałem coprawda dwóch stróżów więziennych, ale nie zatrzymali mnie.

Wolny przekład z hiszpańskiego.

R. Redl.

Zagadka martwego punktu

Wiedza ludzka zatacza coraz szersze kręgi, walcząc o znajdowanie logicznych związków między wszelkiemi zjawiskami fenomenalnemi. Ze świata prainstynktów usiłuje sobie człowiek stworzyć dokładny obraz nietylko poszczególnych charakterów, ale także ogólne pojęcie struktury socjologicznej całych mas ludzkich. Cel wzniosły i potężny, lecz zarazem i niebezpieczny. Czyżby w takim razie, z pojęcia „miłość", nie pozostawałoby nam nic innego prócz formułki chemicznej, dającej się analitycznie zbadać i zmienić w związkach gruczołowych? O ile z jednej strony zimny badacz nie może na takiej drodze dać się uwieść rozwadze sentymentalnej, a synoptyczny filozof, wyposażony w bogate zdobycze nauk przyrodniczych, nie powinien zejść z drogi swoich przekonań, iż wiedza ludzka obejść się zdoła bez metapsychiki — o tyle z drugiej strony lekarz, którego przeznaczeniem jest niesienie pomocy żyjącemu człowiekowi, musi bezwątpienia przyłączyć się zarówno do filozofa, jak i do badacza. Pomoc nieść możemy nietylko przez pigułki i zastrzyki. Musimy wciąż pamiętać o tem, że człowiek nie jest maszyną, tylko istotą indywidualną, zbudowaną i splecioną z nitek otaczającego go świata i własnego przeznaczenia. Jedynie tylko dzięki wynikom dokładnych badań „ducha czasu" i „zdarzeń czasu", możemy nieść pomoc poszczególnym ludziom.

Jesteśmy dziś świadkami zaciętej walki o byt. W walce tej wyczerpują się siły każdego człowieka — i każdy dochodzi do swego „martwego punktu".

Martwy punkt! Jest to ostatni stopień zmęczenia, wyczerpania, który prowadzi do zatracenia samej świadomości i jej wszystkich przejawów.

Co do ściśle fizjologicznych przyczyn tego stanu, uczeni nie doszli dotąd do wyraźnego zdania, ponieważ w tym wypadku ma się do czynienia ze zdarzeniem niezwykle złożonem. Jedno jest tylko pewne: zmęczenie jest bezpośrednią przyczyną ustania we krwi równowagi kwasów i ciał alkalicznych i nadwyżki kwasów, a zwłaszcza kwasu mlecznego. Czy przy procesie wyczerpania odgrywają rolę inne jeszcze substancje trujące, jak np. — hemotoxina nie zostało to dotychczas ustalone.

Natomiast każdy sportsmen wie, że „martwy punkt" jest pokonalny, że daje się przezwyciężyć. Oto naprzykład bokser, który w trzeciej rundzie zdaje się być całkowicie wyczerpany, bez tchu, jakby senny — staje się naraz znów rześki, odświeżony, oddycha miarowo i ze spokojem, pełen sił prowadzi nadal swoją walkę.

Gdzież zatem jest to źródło fizjologiczne, skąd idzie siła i moc dlla przezwyciężenia „martwego punktu"? Jakże powstaje to zjawisko „drugiego tchu", przez anglosasów nazwane „the second wind"?

Przez silne pocenie się następuje wydzielenie kwasu mlecznego, zebranego w organizmie ludzkim wskutek wielkiego wysiłku. W ten sposób kwas ten zostaje unieszkodliwiony, dzięki czemu następuje zwolnienie rezerw alkalicznych. To samo zjawisko daje się zauważyć po spożyciu mocnej kawy lub herbaty. Części składowe tych dwuch napojów wywołują proces mobilizacji rezerw alkalicznych organizmu ludzkiego. Gdy sportowiec lub człowiek pracy umysłowej konstatuje, że te dwa środki pobudzające nie działają na jego organizm — to jest to bezwątpienia dowodem całkowitego wyczerpania rezerw energji i siły.

Specjalnym studjom poddano w ostatnich czasach problem fizycznego wyczerpania człowieka wielkomiejskiego, żyjącego w warunkach wyjątkowych. Dla racjonalnego zwalczania tego zmęczenia, medycyna współczesna oddaje ludzkości do użytku cały szereg środków, nie licząc zarządzeń djetetycznych. Nie należy jednak zapominać, że dość często fizyczne wyczerpanie daje się usunąć jedynie przez odpoczynek i że nadużywanie fizycznej terapji może wywołać jeno pogorszenie stanu zdrowia.

Jest jeszcze jeden środek niezawodny: wola. Tak często zdarza się nam spostrzegać, zwłaszcza przy wyczynach sportowych, że wyczerpanie, spowodowane nadmiernem wyładowaniem energji, daje się przezwyciężyć bez środków fizjologicznych i sztucznych, a jedynie tylko wolą. Siłą woli, wola zwycięstwa, ambicja lub rozpaczliwa chęć przebycia okresu nędzy, instynkt samozachowawczy pchają miljony ludzi do niebywałych rekordów. Gdzie jest cel i treść, — tam musi być wola i droga; duch i wola rozkazują ciału. Znakomici sportowcy, zapytywani, w jaki sposób przezwyciężają „martwy punkt", prawie wszyscy odpowiadają: „Wspominamy w chwili przełomowej naszych znakomitych poprzedników".

Każdy niemal człowiek niewątpliwie doświadczył na sobie ten związek przyczynowy, jaki istnieje między jego siłami fizycznemi a duchowemi. „W ostatniej godzinie" siły urastają do rozmiarów gigantycznych; „tuż przed metą" rozpoczyna się działanie „drugiego tchu". Nad łóżkiem ciężko chorego dziecka matka nigdy nie zaśnie...

(m. s.).



Reginald Denny i Otis Harlan na ringu bokserskim. (Fot. Universal).

Tragedja artystki



Ś. p. Marja Wisnowska — słynna artystka dramatyczna.

Czterdzieści lat mija od dnia, w którym zerwała się tak nagle, w tak niezwykłych okolicznościach, nić życia ulubienicy Warszawy, znanej artystki dramatycznej Marji Wisnowskiej.

Zabił ją wystrzałem z rewolweru rosjanin, porucznik Grodzieńskiego pułku huzarów gwardji, Aleksander Bartenjew.

Wielką zagadką psychologiczną dla Sądu Okręgowego była ta tragedja ,w której do dziś dnia pozostało dużo niejasnego , niezrozumiałego i sprzecznego.

Historja zabójstwa przedstawia się następująco: Do koszar huzarskich w Łazienkach zjawił się o świcie Bartenjew i oświadczył kolegom: *„Zabiłem Manię!"*.

Grupa oficerów wraz z policją udała się niezwłocznie na ul. Nowogrodzką Nr. 14 m. 1, gdzie w maleńkim pokoiku znalazła martwą Wisnowską, leżącą na otomanie z kulą rewolwerową w sercu.

Obok zwłok znaleziono kilka wizytówek Bartenjewa, na których ręką Wisnowskiej było napisane:

„Do jenerała Palicyna. Przyjacielu, dziękuję za wieloletnią przyjaźń, posyłam ostatnie pozdrowienie, proszę o wydanie należnych mi z kasy teatralnej pieniędzy za „Posąg", oraz pensję... i proszę i błagam. Człowiek ten postępuje sprawiedliwie, zabijając mnie... Pozdrowienie pożegnalne dla matki i Aleksandra... Szkoda życia i teatru... Matko biedna, nie proszę o przebaczenie, bo umieram nie z własnej woli. Zobaczymy się w niebiosach, przeczuwam to w ostatniej chwili... Miłość, to nie zabawka!".

Obok otomany znajdował się szereg przedmiotów, mających związek z tragedją, która miała miejsce nad rankiem: butelka z szampanem, słoik z napisem *„opium pulv."*, oraz rozrzucone w nieładzie wierzchnie ubranie artystki.

Sprowadzony do sędziego śledczego Bartenjew przyznał się do winy, powiedział, że kochał Wisnowską, oświadczył się jej nawet, lecz nie uzyskał zgody na ślub od swego ojca, wobec czego postanowił odebrać sobie życie. Decyzja ta z początku przeraziła Wisnowską, nieco później zgodziła się ona na to z tem jednak, że umrą razem; w tym celu Bartenjew dostarczył jej rewolwer, opium i chloroform.

Ostatniej nocy, w pied a terre na Nowogrodzkiej, Wisnowska miała nieoczekiwanie powiedzieć, że ma zamiar wkrótce wyjechać do Anglji i Ameryki.

Trawiony zazdrością, — gdyż liczne i stałe grono adoratorów Wisnowskiej, oraz wesoły tryb jej życia nasuwały mu najgorsze przypuszczenia, — Bartenjew został poruszony do głębi wiadomością o jej wyjeździe i postanowił tejże nocy umrzeć wraz z ukochaną.

Po dłuższych rozmowach nastąpiła decyzja wspólnej śmierci, następnie Wisnowska napisała kilka kartek, potem wypiła opium w szklance porteru i położywszy się na otomanę, nakryła twarz chustką, skropioną chloroformem.

Bartenjew usiadł obok niej, objął ją wpół, przyłożył rewolwer do piersi i wystrzelił...

„Sam nie zdaję sobie sprawy, dlaczego natychmiast nie odebrałem sobie życia" — mówił Bartenjew — *„może to był lęk śmierci, brak woli — nie wiem. Odpowiedzi w sobie znaleźć nie mogę".*

Prokurator sądu okręgowego bar. Roden, popierając oskarżenie w całej rozciągłości, udawadniał, że tłomaczenie Bartenjewa, jakoby Wisnowska miała zamiar pozbawienia się życia, nie wytrzymuje krytyki, gdyż przeczą stanowczo temu zeznania jej licznych znajomych i przyjaciół, przedewszystkiem zaś treść podartych listów, znalezionych później w pokoju na Nowogrodzkiej.

„Człowiek ten", pisała Wisnowska, *„grozi mi śmiercią, więc przyszłam. Stąd żywą nie wyjdę. Nadchodzi ostatnia chwila. Boże, nie opuszczaj mnie. Ostatnią myślą moją — matka i sztuka. Ta śmierć — nie z mojej woli... Zasadzka... muszę umrzeć. Człowiek ten jest moim losem. Boże, ratuj mnie! To była zasadzka. Wisnowska".*

Opierając się na zeznaniach świadków, oraz powołując się na przytoczony list, prokurator twierdził, że Bartenjew zmusił Wisnowską do napisania na wizytówkach, że umiera z własnej woli, ostatni zaś list podarł w kawałki i w popłochu wyrzucił je na podłogę.

Zdaniem prokuratora, Bartenjew nie miał zamiaru odbierać sobie życia: jedynie bezgraniczna zazdrość włożyła mu rewolwer do ręki.

Uważając, iż morderstwo było dokonane z całą świadomością, prokurator żądał najsurowszego ukarania przestępcy.

Obrońca Bartenjewa, głośny wówczas adwokat rosyjski, F. Plewako, mowę swoją zbudował na szeregu momentów psychologicznych, twierdząc, że dramat Wisnowskiej miał początek daleko od jej znajomości z Bartenjewem, gdyż piękna artystka na początku swej karjery teatralnej padła ofiarą zawiedzionej miłości.



Grób. ś. p. Marji Wisnowskiej na Powązkach w Warszawie.



Aleksander Bartenjew, porucznik grodzieńskiego p. huzarów gwardji.

Stąd miała powstać w niej myśl o śmierci, odtąd niegojąca się rana w sercu kobiety nie dawała jej spokoju, a przemęczony wewnętrzną walką system nerwowy szukał tylko odpowiedniej chwili, aby straszna decyzja została nareszcie wprowadzona w czyn.

„Jakkolwiek młode życie Wisnowskiej" — mówił Plewako — *było złamane, jednak słaba, bezwolna natura zakochanego w niej, pełnego zazdrości, Bartenjewa, była w jej ręku ślepem narzędziem — przesiąkł on nawskroś jej myślami i ideałami, stając się powoli automatycznym wykonawcą wszystkich jej życzeń".*

„Ona to każe mu przynieść rewolwer i truciznę — spełnia więc ten rozkaz bez zastrzeżeń. Ona bawi się w śmierć, marząc o niej, jak o czemś pięknem, teatralnie — efektownem, podczas gdy on widzi w śmierci jedyny ratunek, jedyne wyjście z tej sytuacji, która stała się dla niego przekleństwem".

Dlaczego jednak zabijając Wisnowską, Bartenjew nie poszedł w ślad za nią?

Obrońca tłumaczy to tem, że gdy Bartenjew strzelił do uwielbianej przezeń kobiety, — zamknęły się odrazu i nazawsze dla niego te piękne i władne oczy, z których czytał on jej wolę, wyczuwał każde jej życzenie — oczy, w które nawykł był wpatrywać się godzinami, marząc o wspólnem szczęściu...

I wtedy dopiero zrozumiał, że stracił żywą siłę, która była dla niego niezastąpionym impulsem do czynów dobrych i złych, rozsądnych i nieoględnych.

Wielkie zamieszanie powstało wtedy w duszy Bartenjewa, przerażenie ogarnęło jego duszę i zabrakło mu woli, by odebrać sobie życie.

Pozostał samotny, bezwolny, nieszczęśliwy człowiek, nie zdający nawet sobie sprawy z tego, co uczynił.

Przyszedł do kolegów zrezygnowany, przygnębiony swym strasznym czynem i powiedział: *„zabiłem Manię!".*

Wielce sensacyjna ta sprawa znalazła swój epilog w decyzji Sądu Okręgowego, mocą której Bartenjew został uznany za winnego i skazany na osiem lat katorgi z pozbawieniem praw.

Skargi apelacyjna i kasacyjna — pozostawiono bez uwzględnienia.

Po kilku latach kara powyższa została jednak przez cara Aleksandra III zamieniona degradacją Bartenjewa do stopnia szeregowego.

Główna aleja na cmentarzu Powązkowskim prowadzi od bramy św. Honoraty wprost do mogiły tragicznie zmarłej utalentowanej artystki.

Pod tymże grobowcem spoczywają zwłoki jej nieszczęśliwej matki, ś. p. Emilji z Hoffmanów 1 voto Wisnowskiej, 2 voto Kicińskiej, zmarłej w r. 1898.

J. Ślepowron.

Djabelski jeździec

Zdawien dawna znani byli Polacy jako najlepsi jeźdźcy jeśli nie na całym świecie, to przynajmniej na kontynencie europejskim. Dziesiątki wspaniałych szarż, z szarżą pod Sammo-Sierra i jej rodzoną siostrzycą, szarżą pod Rokitną na czele, szeroko rozsławiły jazdę polską — a tysiące bezprzykładnych indywidualnych wyczynów jeździeckich złotemi zgłoskami wpisały imiona polskie do księgi rycerstwa i sportu jeździeckiego.

O palmę pierwszeństwa walczyli z nami w tej dziedzinie jeźdźcy węgierscy. „Polak, Węgier — dwa bratanki" — mówi popularne przysłowie. To też nie od rzeczy będzie przypomnieć na tem miejscu żywot najsłynniejeszego jeźdźca węgierskiego, hrabiego Maurycego Sandora, którego podziwu godne „konne szaleństwa" zachwycały i zdumiewały Europę pierwszej połowy XIX stulecia.

Rodzic hr. Maurycego, mąż o usposobieniu despotycznem i gwałtownem, trzymał swego syna krótko i, co najciekawsze — nie pozwalał mu na konną jazdę. Pewnego razu — jak to podaje w swych pamiętnikach matka naszego bohatera, hr. Paulina Sandor — złamał chłopiec zakaz ojcowski i, zaprzągłszy do bryczki dwie szkapy, znane ze swego ciężkiego chodu, wyprowadził je na szosę. Traf zrządził, że natknął się na sześciokonny powóz swego ojca, jadący w tym samym kierunku. Struchlała pani hrabina na widok złowróżbnych zmarszczek na czole męża — lecz Maurycy nie stracił rezonu. Sobie tylko wiadomym sposobem zmusił swe szkapy do szalonego galopu, dopędził pojazd rodzica i przemknął obok jak błyskawica, z synowskim szacunkiem zdejmując czapeczkę z głowy.

Po powrocie do pałacu został wezwany przed groźne oblicze ojcowskie. Stary hrabia długo przeszywał go wzrokiem, zanim rzucił pytanie:

— Kto cię nauczył tak powozić?

— Nikt, drogi ojcze — brzmiała odpowiedź — ale wiem, że każdy koń musi mi być posłuszny, bo umiem się z nim obchodzić. Sam ojciec był dzisiaj świadkiem, że najgorsze szkapy stają się w mojem ręku bardziej rącze, niż najściglejsze cuganty...

— Stul pysk! — warknął groźnie miły ojczulek — wynoś się pókiś cały!

Na tem — na szczęście — skończyła się cała awantura, która mogła mieć bardziej bolesne dla młodzieńca następstwa... Uparty starzec, choć był zachwycony zdolnościami jeździeckiemi swego syna, nie cofnął swego zakazu, trzymając Maurycego nadal zdaleka od stajni i nie pozwalając mu ani razu dosiąść konia lub wziąć cugle do ręki. Nic też dziwnego, że szesnastoletni hr. Maurycy wracając w 1821 r. z pogrzebu swego ojca, pobiegł wprost do stajni, by własnoręcznie osiodłać ogiera pełnej krwi i po raz pierwszy w życiu doznać roskoszy konnej jazdy. Kiedy zaś obecny przy tem jego stary wychowawca starał się powstrzymać go od tego „nierozważnego kroku", perswadując, iż zanim się wskoczy na grzbiet koński wprzód trzeba wziąć parę lekcyj konnej jazdy, odparł młody hrabia z uśmiechem:

— Nigdy nie będzie jeźdźcem ten, kto nie jest jeźdźcem od urodzenia!

— I poprawiwszy się w strzemionach, rozpoczął hr. Maurycy swą karjerę jeździecką, która niebawem miała obdarzyć go przydomkiem „djabelskiego jeźdźca".

„Był bożyszczem młodzieży — piszą o nim Toth i Siklossy — ulubieńcem kobiet, postrachem filistrów i chlubą romantyków, jakby wskrzesicielem dawnych epok heroicznych". Najmożniejsi tego świata zabiegali o jego przyjaźń — kwiat arystokracji uważał za zaszczyt przebywanie w jego towarzystwie. Słynny malarz ówczesny, J. G. Prestel, poświęcił mu piękne album, w którem na stu pięćdziesięciu stronicach uwiecznił jego „konne szaleństwa". Dzieło to, wydane w ograniczonej liczbie dwustu egzemplarzy, które hrabia rozdał swym najbliższym przyjaciołom, jest dziś jednym z najcenniejszych „białych kruków" bibljograficznych.

Rzec można, że hr. Sandor igrał ze śmiercią, wymyślając coraz to nowe nieprawdopodobne „sztuczki" i „kawały". Niejednokrotnie też padał ofiarą swej zuchwałości, lecz najcięższy nawet wypadek nie mógł go powstrzymać od nowych szaleństw. Kiedy razu pewnego, skacząc przez barjerę mostu okrętowego w Preszburgu upadł tak nieszczęśliwie, że krew rzuciła mu się ustami — zerwał się z ziemi, dopadł nanowo tego samego rumaka, rozpędził go i w najpiękniejszym stylu dokonał zamierzonego skoku.

Słynne były jego „skoki jarmarczne", kiedy to na swym ulubionym „Pyrrhusie" przeskakiwał przez wysokie stragany garncarzy. Razu pewnego spotkał w pobliżu targowiska dwuch chłopców dźwigających na długim drągu garnki gliniane — nie uprzedzając ich zgoła, wspaniałym skokiem przesadził tę improwizowaną i kruchą przeszkodę.

Charakterystycznym dla epoki ówczesnej jest sposób, w jaki młody hrabia „wyleczył" swą starą klucznicę, która na widok jego szaleństw wydawała przeraźliwe okrzyki przestrachu. Na jego rozkaz dwaj koniuchowie chwycili babinę, jeden za głowę a drugi za nogi, hrabia zaś dosiadłszy rumaka, zaczął skakać przez tę żywą przeszkodę. Klucznica wrzeszcząc w niebogłosy, polecała duszę Bogu i przymykała oczy przy każdem „hop" i każdym skoku — aż wreszcie, wyczerpana, przysięgła uroczyście, że odtąd będzie milczeć jak trusia, choćby jej panu przyszło do głowy skakać przez wieżę kościelną...

Większą część dnia spędzał hrabia na koniu. Nawet na schody wjeżdżał zwykle konno — w oberży „Pod białym łabędziem" do dziś dnia opowiadają, jak w pełnym biegu dostawał się aż na drugie piętro po schodach.

Dnia pewnego, pragnąc odwiedzić w Peszcie swego szwagra, hrabiego Keglewicha, dosiadł hrabia Sandor „Tatara", podjechał pod pałac i przesadziwszy swoim zwyczajem parkan, wpadł na ganek, jak w pułapkę. Ganek był tak wąski, że nie pozwalał na obrócenie koniem. Drzwi zaś zastał hrabia zamknięte, gdyż ani gospodarzy, ani służby nie było w domu. Tymczasem „Tatar" zaczął się czegoś niepokoić — strzygł uszami i wreszcie stanął dęba. Wykorzystując tę pozycję, skręcił go hrabia żelazną ręką i zmusił do potężnego skoku zpowrotem poprzez parkan, wprost na trotuar. Jeśli zważymy, że ganek był wysłany śliskiemi płytami marmurowemi, utrudniającemi ten manewr — skok ten uznać musimy za szczyt mistrzostwa jeździeckiego.

Innym razem hr. Sandor, który miał zwyczaj dosiadać konia w sypialni zaraz po wyskoczeniu z łóżka — zjechał po kamiennych schodach swego pałacu i jednym skokiem przesadził dwie osoby, oczekujące nań u wejścia — swego ulubionego karła i kuchcika. Widząc, że aż przysiedli ze strachu, kazał kuchcikowi wziąć karła na ramiona, poczem dwukrotnie przeskoczył przez tę żywą przeszkodę.



Niemało też strachu napędził przewoźnikowi na Waagu pod Piszczanami, skacząc z wysokiego brzegu wprost na prom, pełen ludzi i pojazdów, przyczem, jak zwykle, nie obeszło się bez wrzasku, choć nikomu nie stała się najmniejsza krzywda. W Piszczanach również szeroko słynęły jego zwycięskie partje bilardowe, które wygrywał, siedząc na koniu i kurząc fajkę... Tresurę końską doprowadził do tego stopnia, że mógł zadziwiać mieszkańców Badenu, przechodzących obok willi, którą w tem mieście posiadał, widokiem konia, wysuwającego łeb z okna drugiego piętra i ćmiącego fajkę, jak stary gwardzista...

W 1842 roku założył się hrabia, że prześcignie lokomotywę — i zakład ten wygrał z łatwością. Rzecz prosta, że lokomotywy ówczesne dalekie



były od dzisiejszych rekordów pociągów pośpiesznych.

W tym samym roku, bawiąc w swych dobrach w Raro, dopędził hr. Sandor po długim wyścigu wspaniałego jelenia. W parę tygodni potem zachwycił wiedeńczyków wspaniałym skokiem poprzez powóz jednego ze swych przyjaciół.

Działo się to na Praterze, gdzie niebawem dokonał jeszcze bardziej szalonego wyczynu — tym razem nie jako jeździec, lecz jako woźnica. Kazał mianowicie trzem „fiakrom" stanąć tuż obok siebie, oś przy osi, poczem odprowadzić na bok powóz środkowy. Gdy wszystko było gotowe i odległość ściśle wymierzona, wskoczył hrabia na koziol swego słynnego powozu, zaprzężonego w sześć ognistych rumaków, ujął za cugle, cmoknął i — jak strzała przemknął przez „furtkę", powstałą między dwoma „fiakrami". Aby nie zawadzić o żadną z tych dorożek, musiały konie hrabiego biec bok-o-bok siebie — cudem też wraz z woźnicą wyszły cało z tej przygody.

Razu pewnego otrzymał hr. Sandor rozkaz gubernatora, zabraniający mu paradowania w sześciokonnych pojazdach, co należało wówczas do przywilejów monarszych. W odpowiedzi kazał zaprząc dwie trójki koni do powozu i zajechał przed pałac gubernatora, oświadczając, że wolno mu jeździć w poszóstnej karecie, skoro koni nie zaprzęga parami.

Hr. Sandor był zięciem znienawidzonego Metternicha — to też, aczkolwiek nigdy nie mieszał się do polityki w 1848 r., podczas rewolucji marcowej lud wiedeński urządził kocią muzykę również przed jego pałacem. Hrabia wyszedł przed ganek i wziął udział wraz z tłumem w rozbijaniu szyb własnej rezydencji, poczem zapytał:

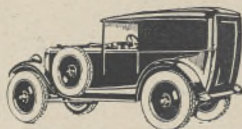
— No, a teraz dokąd pójdziemy?...

Smutny czekał go koniec. Liczne upadki z konia wywołały wstrząs mózgu i chorobę umysłową, która zaprowadziła go na lat dwadzieścia do szpitala warjatów w Pradze, skąd 3 marca 1878 r. odwieziono go poszóstnym karawanem na cmentarz...

Zdarzyło się, że konie, zaprzężone do karawanu, poniosły, w szalonym galopie sadząc przez groby cmentarne i zatrzymując się — same! — przed grobowcem rodzinnym hrabiów Sandorów...

(pejot).

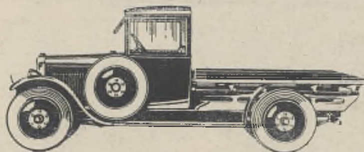
Peugeot



Towarowa 5/12 HP
Nośność 250 kg.
Cena z karoserją Zł. 7.500



Towarowa 9/28 HP
Nośność 450 kg
Cena z karoserją Zł. 10.750



Ciężarówka nośność 1.200 kg.
Cena podwozia Zł. 9.500.



Autobus lub ciężarówka na podwoziu 4.000 kg. cena podwozia Zł. 22.000.

WSZELKIE MODELE I CZĘŚCI ZAPASOWE NA SKŁADZIE

POLSKI PEUGEOT Hoża 9, tel. 435-55.

Przez dziurkę od klucza...



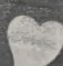




























„Ciekawość, to pierwszy stopień do piekła“ — mówi przysłowie ludowe. „Ciekawość, to pierwszy stopień do wiedzy“ — zapewniają uczeni. Jednocześnie starożytni przerażają nas przykładem zgubnych skutków ciekawości w micie o puszce Pandory, a współczesna kultura uznaje dyskrecję za jedną z najwyższych cnót: „Jest to cnota nad cnotami trzymać język za zębami...“

No, tak — mówić, plotkować, obgadywać — brzydka to rzecz. Ale zajrzeć przez dziurkę od klucza... och! bez żadnych złych zamiarów... Chociażby idąc za przykładem tej młodej żoneczki, która, wracając niespodzianie ze wsi do domu, gdzie zostawiła swego „słomianego wdowca“ pod opieką dwuch stryjaszków, przykłada oko do dziurki od klucza i... widzi to, co widzimy i my na pierwszej górnej fotografji. Albo zajrzeć obok, do „kawalerki“ pana Stasia, który na sukni zrobił plamę i klęcząc, stara się ją wywabić... Wraz z surową mamusią przeniknąć tajemnice kandydata do matury, który, zamiast ślęczeć nad książką, oddaje się innym, bardziej ponętnym studjom w towarzystwie fertycznej pokojówki... Zapuścić wzrok do gotowalni pięknej pani Luli, oddającej się swobodnie zabiegom kosmetycznym i tualetowym...

Z poza zamkniętych drzwi dobiega nas odgłos jakiejś energicznej rozprawy — przykładamy oko do dziurki od klucza — naturalnie! To nasza sąsiadka, znana z energji pani Krystyna, załatwia swe małżeńskie porachunki... Obok, po stronie prawej, zalotna kuchareczka francuska, rozmarzona słucha płomiennych wyznań agenta policji, zapominając o zmywaniu naczyń... Przez dziurkę od klucza u dołu po stronie lewej zajrzał zazdrosny mąż — nieba! Jakiś mężczyzna całuje jego żonę! Tak, niema wątpliwości, że to jego żona — poznaje ją po stroju i kolji pereł — lecz kimże jest „ten trzeci“?! Władek? Jurek? Nie — chyba Mietek!... Obok znów inna scena — wnętrze gabinetu restauracyjnego, do którego zagląda płatniczy. Gość już „gotów“ — można mu spokojnie przedstawić słony rachunek do zapłacenia...

(mimo).

Cezarowe miasto

(Z podróży po słonecznej Dalmacji).

Spalatto zwali je wenecjanie oraz ich spadkobiercy Austrjacy, a dzisiejsi prawowici właściciele Dalmacji — waleczni nasi pobratymcy, Jugosłowianie, zwą ten piękny gród krócej nieco Split. Oba owe miana jednakże mają jedyne wspólne źródło — słowo łacińskie „palatium". Dzisiejszy Split bowiem wyrósł na gruzach wspaniałego pałacu, który niegdyś zbudował tu sobie cezar Dioklecjan — dalmatyniec z pochodzenia, a rzymianin z urzędu.

Dziwne to miasto. Nawskroś przepojone żarem południa, oblane szerokiemi wodami modrego Adrjatyku, egzotyczne i obce pozornie dla Polski, a jednak bliskie i swoje, bo słowiańskie. Niby Nicea wdzięczy się Split szerokiem i gładkiem pobrzeżem, które zdobią smukłe palmy daktylowe o pienistych koronach lub szerokolistne, wachlarzowate latenje. Ale w cieniu tych drzew podzwrotnikowych przechadzają się tłumy ludzi, których typ nic z włoskim niema wspólnego, a wieczorami brzmią tu pieściwe tony dźwięcznych pieśni słowiańskich. Tło zaś miasta jest również feeryczne, jak jego ulice. Niby krzywy a szeroki jatugan turecki wdarł się Split kamiennym masywem swych domów wgłąb lądu, tuląc się do podnóża tak nagich i niebosiężnych gór skalistych, jakie tylko Dalmacja posiadać może.

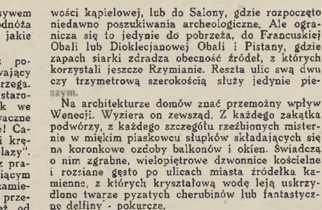
Tak wygląda Split, Split widziany z pokładu statku, gdyż podróżny przybywający tu pociągiem żadnych gór nie spostrzega. Zasłaniają mu je wysokie, stłoczone domy staroświeckie, pomiędzy któremi snują się jak we wszystkich miastach południa, wąskie dziwaczne uliczki. Ile ich jest? O, mnóstwo niezliczone! Cały Split składa się z przeróżnych zaułków i krętych przejść, zwanych po chorwacku „prolazy". Zanurzyć się w ich mrocznej głębi to roskosz prawdziwa, bo wszystkie te uliczki dyszą rzeźwiącym chłodem nawet w skwarze południa, kiedy zamiera wszystko w Splicie i nie drze się żadna przekupka, zachwalająca swe figi, granaty czy też od ziemniaków pospolitsze pomarańcze.

Uliczki te wczesnym rankiem roją się od tłumów ludzi. Ruch na nich zamiera w godzinach popołudniowych, wznawia się nad wieczorem i siły największej nabiera po zachodzie słońca. Kiedy na Anioł Pański rozebrzmią srebrzystym dźwiękiem dzwonów smukłe wieżyce kościołów splitańskich, do złudzenia przypominających campanille italskie, wówczas tłumy spragnionych ochłody wylegają na szerokie pobrzeże. Kawiarnie zwijają swe białe markizy, a stoliki i krzesełka rozszerzają swą ekspansję aż po środek jezdni. Niewiele co zresztą się przy nich dostanie. Przeważnie tylko wodę sodową lub doskonałe piwo, sprowadzane z Zagrzebia lub Sarajewa. A lody? O, te każdy może sobie nabyć od sprzedawcy ulicznego.

Mnóstwo ich krąży przez dzień cały po Splicie. Są czysto ubrani i toczą przed sobą malutkie, przemiłe wózeczki, całe błyszczące od niklu i białej emalji. Wraz ze zmrokiem zapalają się na tych wózeczkach małe lampki i sprzedawcy zamrożonych specjałów drą się na przeróżne głosy.

— Sladoled! Dwa dinary! Sladoled!

Ruch kołowy wcale im w tem nie przeszkadza. Bo niema ruchu kołowego w Splicie. Czasem tylko przemknie jakiś autobus, wiozący gdzieś do Bakczieko Kupaliszte, podsplitenskiej miejscowości kąpielowej, lub do Salony, gdzie rozpoczęto niedawno poszukiwania archeologiczne. Ale ogranicza się to jedynie do pobrzeża, do Francuskiej Obali lub Dioklecjanowej Obali i Pistany, gdzie zapach siarki zdradza obecność źródeł, z których korzystali jeszcze Rzymianie. Reszta ulic swą dwu czy trzymetrową szerokością służy jedynie pieszym.

Typy mieszkancow Dalmacji

Na architekturze domów znać przemożny wpływ Wenecji. Wyziera on zewsząd. Z każdego zakątka podwórzy, z każdego szczegółu rzeźbionych misternie w miękim piaskowcu słupków składających się na koronkowe ozdoby balkonów i okien. Świadczą o nim zgrabne, wielopiętrowe dzwonnice kościelne i rozsiane gęsto po ulicach miasta źródełka kamienne, z których kryształową wodę leją uskrzydlone twarze pyzatych cherubinów lub fantastyczne delfiny - pokurcze.

Tysiąc lat już upływa od czasu, kiedy zagnieździł się w Splicie skrzydlaty lew Wenecji. A musiało mu tu być i wygodnie i dobrze, bo rozpostarty dumnie, drapieżny nie opuścił swego nowego legowiska nawet po upadku morskiego państwa dożów i po dziś dzień jego podobizny widnieją na wszystkich zabytkowych gmachach.

— Chce pan może zobaczyć lwa Św. Marka? — pytał mnie uprzejmie jasnowłosy, ale jak cygan spalony przewodnik, woniejący miłą mieszaniną cebuli i czosnku. — Izwolte gospodin! Proszę bardzo!

I nie czekając na zgodę, pociągnął mnie do baszty, omszałej ze starości i jakby zapleśniałej, ale zachowanej doskonale. Wieńczył ją zębaty szczyt, a poniżej widniało kilka wąskich okienek, używanych niegdyś zapewne dla celów obrony, dziś zaś służących jedynie gołębiom, które w głębi baszty mają zapewne swe siedliska rodzinne. Pod jednem z tych okienek niby pieczęć starodawna widniała płaskorzeźba wyobrażająca skrzydlatego lwa z groźnie podniesioną łapą. Zobaczyłem potem drugiego i trzeciego i jeszcze i jeszcze. Jedne tkwiły dumnie na szczytach kamiennych obelisków inne kroczyły po murach starych domów, a inne znów czaiły się chytrze pod zielenią dzikich winorośli.

A jasnowłosy cygan, gryząc namiętnie świeżą cebulę, pokazuje coraz to nowe osobliwości i opowiada. To co zdawało się być szczątkiem dawnej warowni, a może służyło nawet za fort wenecjanom, posiada jak się okazuje znacznie głębszą starożytność. Są to resztki pałacu, który wzniósł sobie niegdyś w Splicie prześladowca chrześcian, cezar Dioklecjan. Wenecjanie tylko konserwowali pieczołowicie te zabytki, a była to konserwacja zapewnie prawdziwą chlubą ich różnych wielkorządców, bo w wielu miejscach upamiętnili oni swe nazwiska.

— Antonius Delphinius renovebit — opiewa napis na murze, oddzielającym od reszty miasta Stary Bazar, na którego wzgórzu wśród stosu koszyków, pełnych zieleni dojrzałych fig, dukatowego złota, pomarańcz i jaskrawej czerwieni pomidorów, siedzą krzykliwe, czarno odziane przekupki.

Podobny napis, mur jest oczywiście zaopatrzony kierunkiem, nosi dostojne „Porta Aurea", u wejścia do której kwitną godowo oleandry. „Porta Terrca" zaś czy też „Porta Argentea" tylko dlatego nie posiadają żadnego napisu, że nikt nie zwrócił na nie zapewne uwagi. Wrosły one w miasto, weszły w skład jego nowych domów i ślady ich istniały obecnie w postaci smukłych arkad kamiennych, wznoszących się nad kilkoma wąskiemi uliczkami śródmieścia.

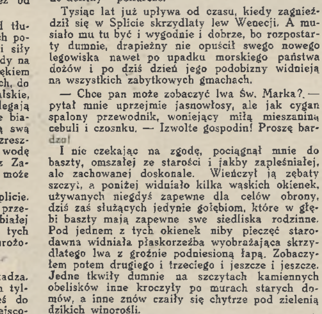
Imperator Rzymu, po dwudziestu zgoła leciech panowania na tronie świata sprzykrzył sobie wreszcie władzę i jej ciężary, a wówczas przypomniały mu się słodkie zacisza pobrzeży Adrjatyku, nad którym po raz pierwszy ujrzał światło dzienne. Bo Dioklecjan był dalmatyńcem i na starość zatęsknił do kraju swych ojców.

Tam też więc udał się zpowrotem, złożywszy uprzednio swą godność Augusta, ku czemu najprawdopodobniej skłoniły go drwiny, jakiemi pod koniec życia obdarzył go lud rzymski, wyśmiewający swego cezara ze skąpstwa. To już było nie do zniesienia. Dioklecjan kpinek nie znosił, a jako ambitny starszy pan postanowił zadać kłam uszczypliwym pomawianiom. I zadał. Zbudował sobie bowiem na terenie dzisiejszego Splitu pałac piękności i rozmiarów wprost niewidzianych. Było to już całe miasto, dla którego otoczono murem przeszło 30.000 metr. kwadr. przestrzeni. Szesnaście baszt broniło go od strony lądu, podczas gdy kolumnowa fasada olbrzymiej budowli patrzyła wprost na morze. Skrzydło północne zajęły dwa pałace, z których jeden był przeznaczony dla samego cezara, drugi dla jego małżonki i córek, w samem zaś centrum stanął wspaniały chram Jowisza. A że o śmierci również pomyśleć należało, więc kazał zbudować cezar Dioklecjan tuż obok świętego przybytku, piękne mauzoleum, gdzie spodziewał się znaleźć spoczynek wieczny.

Powstał takim sposobem istny cud świata, pałac-gród, budzący podziw w Rzymianach i dumę wśród pobratymców emerytowanego cezara — śniadych Ilyryjczyków. A Dioklecjan tak był zadowolony ze swego dzieła i ze swych pól uprawnych, że nie chciał już ich opuścić. Kiedy przybyli raz z Rzymu posłowie, namawiając emeryta, aby raczył przywdziać z powrotem purpurę cezara, władca-rentjer zaklął dość ordynarnie i oświadczył przerażonym wysłańcom:

— Wracajcie corychlej do Rzymu i powiedźcie senatowi, że w pięcie mam jego purpury. Wolę siedzieć do końca życia na własnych śmieciach i siać kapustę. Możecie się sami zresztą przekonać, jakie mam świetne urodzaje.

I na odjezdnem pokazał im podobno tę kapustę,



Świeczniki kwitnących agaw jakby gromnice płoną na Brdo Marian.



Pobrzeże Splitu w nocy staje się podobne fantastycznej dekoracji teatralnej

którą chlubił się więcej jeszcze niż pałacem. Ale plantacje kapusty nie trwały długo. Wprędce po śmierci umiłowanego cezara - ogrodnika wypaliło je słońce i wyniszczyły wiatry morskie. Część pałacu natomiast przetrwała długie wieki, a mauzoleum ambitnego Dioklecjusza jest dziś fermą katedry Splitu, który wyrósł z czasem na gruzach cezarowego domostwa.

Poza czcigodnemi szczątkami pałacu Dioklecjana, którego można bez przesady nazwać ojcem Splitu, jest tu inna jeszcze ciekawa osobliwość, a mianowicie Brdo Marian, czyli Góra Marjańska — wyżyna, która niby wartownik strzeże miasta od strony północnej.

Jeszcze trzydzieści sześć lat temu nic tam nie było, — prawił mi jeden stary obywatel. — Całe Brdo Marion składało się wówczas z bezładnej sterty głazów, których nie czepiały się nawet suche porosty. A miastu przecież tak potrzebny był park czy lasek, jakaś odrobina zieleni, gdzie ludność mogłaby znaleźć nieco świeżego powietrza i chłodu.

— Nic więc nie było?

— A nic. Kilkadziesiąt palm na pobrzeżu, mały skwer miejski, na którym nie starczy miejsca nawet dla dzieci i to wszystko.

Teraz zato jest inaczej. Całe Brdo Marion od stóp aż do szczytu pokrywa las południowych sosen o długich, miękich szpilkach, delikatnej jasno zielonej barwy. Z pod nich, niby smukłe świeczniki wystrzelają ciemne cyprysy i taje, albo piętrzą się obeliski smigłych topoli włoskich. Z podnóża do połowy szczytu góry wiodą piaskowe obramowane zgrabną balustradą schody z białego piaskowca. Tutaj znajdujemy starożytną kaplicę Św. Mikołaja, opiekuna wędrowców morskich. Miły ten przybytek światłami swemi dodawał otuchy zbłąkanym na Adjatyku żeglarzom i przetrwał najgorsze dla słowiańskiej Dalmacji czasy niewoli tureckiej.

Wyżej znajduje się już tylko piękny park leśny, a pnąca się przezeń ku szczytowi droga, obsadzona jest malowniczo agawami o kolących i krzywych niby wschodnia szabla liściach. Niektóre z tych roślin kwitną. Ale jak kwitną! Każdy kwiat jest symfonją barw, kształtów i zapachu. Kwiat agawy jest drzewem czułem. Z środka kolącego krzaku wyrasta łodyga długości trzech lub czterech metrów, dźwigająca całe wiązki żółtych kwiatów, pełnych lepkiego soku, do którego jednak żaden motyl nie przylatuje.

Taką to drogą dochodzimy do szczytu Brdo Marion, na którym czeka nas miła niespodzianka. Tu bowiem mieści się niezwykle pieczołowicie urządzone muzeum przyrodnicze, akwarjum morskie i... ogród zoologiczny. Niechaj jednakże nikt nie wyobraża sobie, że urządzenie jego było rzeczą łatwą i ograniczyło się jak u nas do wzniesienia odpowiednich pawilonów. Nie! Szczyt Brdo Marion jest stożkowaty niby głowa cukru i ogród zoologiczny, umieszczony od strony północnej dla ochrony zwierząt przed słońcem, musiano rozplanować tarasami. Na betonowych więc podmurowaniach stoją klatki, a w nich straszą drapieżne orły morskie, szczerzą kły wilki i hjeny, albo wyprawiają harce pocieszne małpy. Bezmiar zamiłowania i pracy trzeba było włożyć w urządzenie tego zwierzyńca na szczycie góry. Było to jednak jedyne odpowiednie dlań miejsce.

Muzeum morskie jest malutkie i składa się z ośmiu zaledwie akwarjów. Ale urządzono je zgodnie z ostatniemi wymogami techniki i zebrano w niem zasadnicze okazy fauny Adrjatyku. Jest i kilka terarjów. A jakże! Można w nich ujrzeć wszystkie gatunki płazów i gadów, żyjących w Dalmacji. Z płazami jest zresztą gorzej. Brak słodkich wód stojących nie sprzyja ich rozwojowi. Dział ten więc reprezentuje zaledwie kilka salamander. Obfity jest natomiast dział gadów, a przedewszystkiem węży, które w tym gorącym klimacie wyrastają do ogromnych rozmiarów. Nasz zwykły poczciwy zaskroniec pękłby zapewne z zazdrości, zobaczywszy dwumetrową długość swego kuzyna z muzeum splitańskiego. Żmije są również poważne. Taki „poskok" np. — straszna, zabójcza, jadowita żmija rogata prezentuje za szkłem swą grubość, równającą się w objętości ręce dziecka - dziesięciolatka. Róg nadaje jej głowie podobieństwo do łba nosorożca, a zygzakowata pręga na grzbiecie mówi o pokrewieństwie z naszą zwykłą żmiją. Barwa jej jest szaro-stalowa, czem różni się ten wąż skutecznie od drugiej odmiany, mającej kolor prawie czerwony i noszącej nazwę „Kraski szargan", a niemniej jadowitej i niebezpiecznej.

Brdo Marion jest prawdziwą chlubą Splitu, jest jego miłem urozmaiceniem i ozdobą. Wyniosłe to wzgórze wita przybysza, wpływającego do portu o świcie, odjeżdżającego zaś wieczorem żegna nawałnicą płonących na jego zboczach świateł, zapadając mu w pamięci wspomnieniem o wielkim czynie zbiorowości ludzkiej.

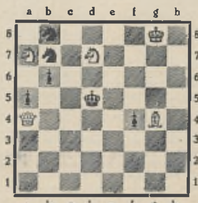
Jerzy - Marjasz Taylor.

Rozrywki umysłowe

SZACHY.

ZADANIE

Arvid Kubbel Prager Presse, 1929



Mat w 3 posunięciach.

ZADANIE KONIKOWE LITEROWE

y	G	ś	n	s	i
w	a	z	n	z	t
e	ż	b	a	a	k
j	i	i	l	l	r
e	r	t	a	ę	l
a	w	g	A	a	u

Obejść powyższy kwadrat ruchem konika (skoczka szachowego), poczynając od dużej litery A w dolnym rzędzie tak, aby utworzyła się treść, dotycząca współczesnego bohaterskiego podróżnika

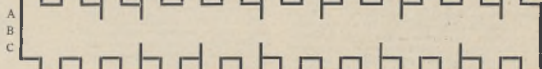
NAGRODY

Za rozwiązanie zadań z niniejszego Nru przeznaczamy nagrody w postaci 5 książek beletrystycznych. Termin nadsyła nia rozwiązań 12 dniowy od daty Nru.

LOGOGRYF KRZYŻÓKOWY

nadesłał por. Cezary Pobóg Pągowski

1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14 15 16 17 18 19 20 21 22 23 24 25 26



Wpisać wyrazy według poniżej podanych znaczeń. Wiersz „B" utworzy rozwiązanie.

Pionowe: 1) Rzym. 2) Pora roku. 3) Przedmieście Warszawy. 4) Znaki dźwięków. 5) Znakomity konsul starożytnego Rzymu. 6) Iskra. 7) Święty byk. 8) Ryba. 9) Sposób poruszania się. 10) Państwo w środkowych Indjach. 11) Praca w polu. 12) Ściany. 13) Zbrodnia. 14) Gatunek, odmiana (wspak). 15) Bogini grecka (wspak). 16) Mieszkaniec Azji. 17) Miejsce odpoczynku wojska. 18) Urzędnik w dawnym Rzymie. 19 Zgrabność, elegancja. 20) Praojciec. 21) Zdrobniałe imię żeńskie. 22) Miejsce rozrywkowe. 23) Koniec, finał. 24) Kochanek nimfy Galatei. 25) Łuszczyk. 26) Dopływ Wołgi

Poziome: A1) Gaz. A5) Karta. A7) Pożywienie. A13) Przystań na pustyni. A17) Ciastko z kremem. A21) Kawior. A25) Rzeka — odnoga Kamy. C1) Miłośnik. C7) Roztwór owocowy. C10) Rzeka w Szwajcarji. C13) Imię męskie. C19) Postać bilijna. C23) Państwo w Indjach.

HUMOR

NASZE DZIECI

— Słyszałeś, Józiu? Podobno nauczyciele grożą strejkiem, jeżeli nie dostaną podwyżki.

— Miejmy nadzieję, że jej nie dostaną...

PIERWSZA KLASA.

— To jest przedział dla niepalących.

— Ja nie jestem palący, lecz poseł na Sejm.

U NACZELNIKA STACJI.

— Co? Pociąg, który podług rozkładu miał odchodzić o 6-ej 40, a stale odchodził o 7-ej, odszedł dziś w swojej porze? Proszę o księgę zażaleń!

NA WYCIECZCE.

Żona: — Niemieję na widok tego cudnego pejzażu!

Mąż: — A możebyśmy tak zamieszkali tutaj na stałe?...

AHA!

— Wyjeżdżam zagranicę. Być może, że nigdy już nie powrócę do kraju.

— Taak? To możebyś mi pożyczył ze dwieście złotych na miesiąc?...

HYGIENISTA.

— Więc pan się nigdy nie myje?

— A to poco? Przed południem noszę worki z węglem, a po południu worki z mąką.

ZŁY CHARAKTER

— Ten guz, który pan ma na czole, napewno jest znakiem złego charakteru.

— Tak... Ale to moja żona ma zły charakter...

LOGICZNE

— Ciągle przeglądasz się w lustrze!

— Przecież nie mogę się przeglądać w fotelu...

W przedziale kolejowym

(Z przeżyć jednego pasażera)

— Prędzej! Spieszcie się!!! Nie pamiętacie, o której odchodzi mój pociąg! Dziewiąta trzynaście, czy trzydzieści? Jezus, Marja! przez was gotów jestem się spóźnić! I to teraz w okresie przepełnienia pociągów ludźmi! Kundziu, czy jesteś gotowa!? Czy aby tylko złapię taksówkę? Oh! ci szoferzy! Kiedy ich nagwałt potrzeba, ani nawet na lekarstwo żaden się nie pokaże! Co robi Jasio? Pewnie jeszcze nie ubrany! Marysiu znieś na dół ten duży kufer! Zapakowałaś mi kołnierzyki? Napewno połowę rzeczy zapomniałaś!

Każda podróż stoi zawsze pod znakiem podniecenia, pośpiechu takiego — na złamanie karku — i wojowniczości. Atmosfera naładowana eksplozywnością może spowodować wybuch o byle co. Towarzyszą temu zbyteczne krzyki, gniewy, biadania, przyczem w pośpiechu zamiast świeżo odprasowanych kołnierzyków pakuje się pół tuzina serwetek i dwa pokrowce na fotele.

Wreszcie udaje się naszemu podróżnikowi dobić do dworca, przyczem szofer jak na złość, jedzie wolno i dłuższą drogą. Przepychaniu się na peron towarzyszą klątwy i złorzeczenia, parę bokserskich uderzeń w żebra, nadepnięcie swym współtowarzyszom na dziesiątki nagniotków i wreszcie bieg — Amok do przedziału. Chodzi o wolne miejsce przy oknie. Szyderczo śmieją się do wzburzonego i znużonego pasażera kartoniki zawieszone nad drzwiami pustych przedziałów z napisem: „Zajęte". W jednym przedziale siedzi rodzina z czterema pociechami wrzeszczącemi na najrozmaitsze tony, w innym jakaś sucha i blada dama zanosi się kaszlem i podejrzanie co chwila spluwa (napewno suchoty!); gdzieś znowu dalej puste przedziały przeznaczono dla niepalących, tam znów dobrnięcie do upatrzonego miejsca jest niemożliwe ponieważ jakaś otyła jejmość zatarasowała przejście i klnąc, przepycha się z trudem, prowadząc na sznurku małą suczkę, a w ręku trzymając klatkę z kanarkiem.

W międzyczasie wzdłuż pociągu biega żona naszego podróżnika, oczekując z utęsknieniem chwili, kiedy jej małżonek zdobędzie miejsce, aż wreszcie jedno z okien w wagonie opada z hałasem i czerwona z wysiłku i podniecenia twarz ukazuje się z tryumfem zawiadamiając o szczęśliwem ulokowaniu się koło okna. W pewnym momencie wynika kwestja, czy pociąg do którego wsiadł jest właściwym, poczem po upewnieniu się u konduktora, następuje tragikomedja pożegnania.

— No, Kundziu, trzymaj się dobrze. Pozdrów odemnie ciotkę Eufemję! — Jeżeli zadzwoni Psztykowski to już wiesz, prawda? Żałuję, że nie jedziesz ze mną, ale sama rozumiesz, że trzeba żeby ktoś został przy dzieciach! Pieniędzmi, które ci zostawiłem, tak dysponuj, żeby ci starczyły! Wiesz dobrze, że jadę bez żadnej chęci, no... ale trudno... stało się! Żadnej w tem nie widzę przyjemności... taki przepełniony pociąg... Zdaje się, że pogoda mi dopisze w podróży... Chociaż, djabli wiedzą! Zwykle w drodze jest deszcz. Takie już mam szczęście! Dlaczego jeszcze nie odjeżdżamy!? Panie kondukto rze!!! Czy jesteśmy spóźnieni? Że też nigdy nie można wyjechać punktualnie. Ładne porządki! Kundziu, spędzaj wesoło czas beze mnie! Jak tylko przyjadę na miejsce, zatelegrafuję! Patrz, widzisz tego grubasa! Że mu się wogóle chce ruszać z domu! Boże! jak ci ludzie marnotrawią pieniądze na niepotrzebne podróże! Podróżowanie kosztuje strasznie dużo. Aha już ruszamy. Popatrz czy już jest otwarty sygnał wyjazdowy! No jeszcze raz dowidzenia. Idź prosto do domu! Jeszcze gotowa jesteś się przeziębić. Na peronie są straszne przeciągi! Ukłony dla ciotki. Nie pomnij jak zadzwoni Psztykowski!

Kiedy wreszcie zniknęła za zakrętem sylwetka żony stojącej na peronie, pasażer odwraca się do środka przedziału i widzi ze zdumieniem jakiegoś jegomościa lokującego się najspokojniej na jego miejscu.

— Przepraszam pana, to miejsce jest przezemnie zajęte!

— Ależ ja tutaj pierwej założyłem siedzenie gazetą!

— Jaką gazetą? żadnej gazety niema!

— Widocznie pan ją umyślnie usunął!

— Cóż pan sobie myśli, panie ten, że jestem jakąś świnią. Ja panie jestem człowiekiem honoru. Nic nikomu nie zabiorę, nawet miejsca w wagonie. Zresztą mam świadków nato, że byłem pierwszy. Proszę, nawet moje walizki leżą w siatce!

— Co mnie obchodzą pańskie walizki. Zawezwę konduktora a on się już z panem rozprawi!

— Sprowadzaj sobie pan dziesięciu konduktorów, ja się nie usunę.

Napastnik ustępuje widząc, że ani prośbą, ani groźbą nic nie wskura. Nasz bohater dumnie rozsiada się na zdobytem miejscu, bawiąc cały przedział uwagami na temat obecnego chamstwa, które nie daje spokoju nawet w pociągu. Wreszcie zjawia się konduktor.

— Panie konduktorze! dlaczego nie przyczepicie więcej wagonów? Skandal jakie przepełnienie. Co pan mówi? Że to nie leży w pana kompetencji? A od czego pan tu jest Czy tylko do psucia biletów dziurkami? Powinien pan tym panom z dyrekcji powiedzieć, że ludzie jadą w wagonie ściśnięci jak bydło! Skandal, co oni sobie tam myślą! Sami jeżdżą wygodnie, salonkami! Niechby się przejechał taki jeden z drugim dygnitarz. Ładnieby wyglądał. Psiakrew! z takiemi porządkami!!!...

I wreszcie na przeciąg jakiejś pół godziny milknie w przedziale. Brak tematu. Wszyscy się obserwują nieufnie. Każdy szuka w myśli, od czegoby zacząć rozmowę. Wreszcie — jest! Okno! — Okno gra bardzo poważną rolę w każdej podróży. Jest ono pierwszym łącznikiem wiążącym ze sobą nieznajomych. Przez niego zaczynają się ludzie poznawać. Staje się ono kością niezgody lub zadatkiem przyjaźni. Wszystko jedno w jakiejby ono roli nie wystąpiło zawsze będzie najpożądańszym towarzyszem podróży. Gdyby naprawdę ludzie zastanowili się ile miejsca w ich życiu zajmuje zwyczajne kolejowe okno odnosiliby się do niego z należytym szacunkiem. W przedziale kolejowym podróżni dzielą się na dwie kategorje: tych co siedzą przy oknie i tych, którzy są tego okna pozbawieni. Już to samo wytwarza atmosferę nienawiści i zawiści z jednej strony, oraz dumy, zadowolenia i lekceważenia z drugiej. Okno staje się więc punktem **centralnym** wszystkich myśli i uczuć podróżnych. Jest ono potężnym czynnikiem ukazującym charaktery w całej swej arbitralnej nagości.

— Czy państwo nie będą mieli nic przeciwko temu, że otworzę okno?

— Ależ proszę bardzo! — Nie! Protestuję! — Mnie jest zupełnie obojętne! — Tak panu wszystko jedno, bo pan ma końskie zdrowie, ale ja jestem czuła ogromnie na każdy przeciąg, mogę się zaziębić i nie daj Boże umrzeć! — Kto jest chorowity, może się nie włóczyć pociągami. — Co pana to obchodzi czy ja się włóczę, czy nie! pilnuj pan własnego nosa! — Gadaj sobie pani co pani chcesz a ja otworzę okno! — Zabraniam! zawołam konduktora, spiszę protokół! Co za niegrzeczność w stosunku do damy! Coraz więcej brak jest dżentelmenów! Samotna kobieta jest ustawicznie narażona na brutalność mężczyzny! — Co mi pani zawraca głowę dżentelmenerją, ja się lepiej znam na niej, jak pani! Zresztą co ja sobie będę niepotrzebnie strzępił język. Otwieram i kwita!

W ten sposób toczy się dyskusja, która wreszcie przybierając spokojniejsze tony zamienia się w ogólną rozmowę. Porusza się przytem szereg tematów, opowiada najrozmaitsze, nadzwyczajne przygody kolejowe, po większej części fabrykowane na poczekaniu, zawiera się bliższe znajomości. Wreszcie wojownicza dama zagłębia się w jakiś wyciągnięty z walizy, sensacyjny romans, ktoś rozpoczął drzemkę, przerywaną od czasu do czasu przeraźliwem chrapnięciem. Kilka osób toczy dysputy na tematy polityczne lub handlowe.

Powoli zapada zmrok. Konduktorzy zapalają światła w przedziałach. Przedział zaczyna się powoli opróżniać z podróżnych, wysiadających w miejscowościach, do których jechali...

— — — — — — — — — — — — —

Mijają piękne chwile Aranjuezu, wszystko ma swój koniec. Każdy wraca do domu po spędzeniu kilku tygodni na urlopie lub odpoczynku. Każdy uważa, że należy jaknajsurowiej krytykować miejscowość, z której wraca, narzeka na konieczność powrotu do swej pracy.

— Pan był w X? Ja byłem w Y. Niemożliwe ceny. Rozbój na prostej drodze. Złodzieje. A jakie towarzystwo, pożal się Boże! Wszędzie ci znajomi, od których człowiek właśnie chciał uciec. Intrygi! Wieczna kontrola! Skandal!

Pociąg wjeżdża na peron, na którym oczekuje stęskniona małżonka.

— Kundziu! Jak się masz! Widzisz jestem cały zdrów! Tylko trochę zmęczony! Czy Psztykowski dzwonił? Coś mu powiedziała? Masz w domu piwo? Mam okropne pragnienie. W rzeczywistości nie opłacało się jechać. Za drogie pieniądze, mało wątpliwej przyjemności. Masz w domu trochę pieniędzy? Nie! Kobieto, naco wyrzuciłaś tyle grosza!! Tragarz!! Hej, tragarz!! Ci ludzie powarjowali, nic nie słyszą. Proszę zanieść moje rzeczy do taksówki. Jak się miewa ciocia Eufemja? Jestem zadowolony, że nareszcie przyjechałem. Czy piwo postawiłaś do lodu? Ale, ale wiesz kogo spotkałem, nigdy byś nie przypuszczała, w domu ci opowiem. Zabawna historja, uśmiejesz się... *(g)*

— Ależ mężusiu to wagon dla bydła?
— Nic nie szkodzi, wsiadaj kochanie.



Zakład utylizacyjny przy ul. Elekcyjnej Nr. 62



Upolowany na lasso

Psia dola

„Pies — to cnota, która nie mogąc stać się człowiekiem, przybrała kształt zwierzęcy" — powiedział Wiktor Hugo. Niedobrze też świadczy o cnotliwości człowieka jego stosunek do tego najwierniejszego przyjaciela, o którym mówił Pascal: „im bliżej poznaję ludzi, tem więcej kocham mego psa..."

Pies, oddany człowiekowi „do statniej psiej pary", tak często zaniedbany przez swego pana, wałęsa się po ulicach miasta, nie przeczuwając, jak liczne grożą mu tam niebezpieczeństwa — przedewszystkiem w postaci przepisów administracyjnych.

Oto kilka „psiożerczych" paragrafów Rozporządzenia Komisarza Rządu m. st. Warszawy z dnia 14.XI. 28, opartego na rozporządzeniu Ministra Rolnictwa z dnia 9.I. 28 r.

§ 2.

Psy na obszarze m. Warszawy winny być zarejestrowane i zaopatrzone w znaki rejestracyjne, przymocowane do obroży.

§ 3.

Wyprowadzenie (wywożenie) psów z obszaru m. Warszawy dopuszczalne jest tylko za zezwoleniem starosty grodzkiego, po uprzedniem uznaniu psa za niepodejrzanego o wściekliznę przez właściwego powiatowego lekarza weterynaryjnego.

(Przyp. red.: Aż dwie osoby urzędowo obarczone są temi czynnościami. O podanie z opłatą stemplową 6 zł. nie mówimy).

§ 4.

Psy winny być prócz obroży ze znakiem rejestracyjnym zaopatrzone w bezpieczny kaganiec i prowadzone na smyczy. (Przyp. red.: i smycz i kaganiec!).

§ 5.

Psy, co do których nie zostały zastosowane wymogi, zawarte w poprzednich §§ będą chwytane i zabijane.

Na wyjątek od powyższego, stosownie do zarządzenia Ministra Rolnictwa z dn. 23.VI. 26 roku, Nr. 4741, może zezwolić Minister Rolnictwa.

Prośby o zwolnienie od zabicia winny być wnoszone do Ministra Rolnictwa za pośrednictwem właściwego starosty powiatowego.

(Przyp. red.: Zabijanie za niezastosowanie się do przepisów... czy jest konieczne? I czy sprawa zwolnienia psa od kagańca wzgl. od śmierci powinna sięgać aż samego ministra i to w drodze służbowej!?).

§ 9.

Winni przekroczenia rozporządzenia będą karani w drodze administracyjnej grzywną do 1.000 zł., lub aresztem do 6 tygodni, wzgl. grzywną i aresztem łącznie.

W cieniu tych groźnych paragrafów „urzęduje" psi oprawca, popularnie „hyclem" zwany.

Jedynie kaganiec jest asekuracją od tego strasznego człowieka, psy zaś, biegające bez tego tak nieznośnego dla nich przyrządu, stają się łupem hyclowskim: nagle zjawia się małe auto, z którego zeskakuje para ludzi z wędkami — lasso i w okamgnieniu biedaczysko jest już złapany i umiesz czony za kratami psiej limuzyny.

Połów taki daje codziennie od 5 do 10 psów, których odwozi się na ul. Elekcyjną pod Nr. 62, gdzie się mieści Zakład Utylizacyjny miasta Warszawy; tam je umieszcza się w specjalnych okratowanych celach, przyczem na każdy dzień tygodnia przeznaczona jest osobna cela.

W ciągu 3-ch dni Zakład czeka na właściciela. O ile ten się zgłosi, to jednak swego kochanego „Asika" tak łatwo stamtąd nie wydostanie: trzeba bowiem złożyć podanie do Starostwa, a po uzyskaniu zgody na zabranie psa, zapłacić 40 zł. kary, oraz 12 zł. za zastrzyki przeciw wściekliźnie, oraz za pokarm i dopiero po obserwacji, na 6-ty dzień, „Asik" wraca do domu szczęśliwy i wdzięczny swemu chlebodawcy.

Każdego odwiedzającego oddział „przyłapanych", „więźniowie" spotykają niemilknącem szczekaniem, rzucają się do krat, wysuwają mordki i łapki, i żałośnie proszą: zwolnij nas z tego okropnego więzienia!

Trudno opanować mimowolne wzruszenie... Biedaki! Słyszałem o pewnym jegomościu, który przyjechał po psa własnem autem do Zakładu, lecz przestraszył się 52 złotych i, nie zwracając uwagi na rozpaczliwe szczekanie swego „przyjaciela", pozostawił go... do dyspozycji Zakładu...

Na *czwarty dzień* więzień jest już skazańcem: na „wędce" — lasso wyprowadzają go do t. zw. rzeźni, gdzie czeka nań fotel elektryczny (miedziany blat); do pyszczka podnosi się mosiężna łyżka ze strawą, i gdy pies zaczyna jeść, włącza się prąd.

Chwila — i wszystko skończone.

Żadna premjowana piękność, żadna tresura, albo inne zalety charakteru nie uratują psa przed fotelem elektrycznym to też wiele wysokowartościowych, rasowych i bardzo pięknych psów ginie w tym feralnym „czwartym dniu".

W „rzeźni" dobijają nieuleczalnie chore konie i inne zwierzęta, następnie obdziera się je tak samo jak i zabite psy, ze skóry (która idzie na sprzedaż do garbarni), zaś mięso wrzuca się do olbrzymiego kotła, gdzie pod ciśnieniem 3 atmosfer gorąca sucha para dokonywa pierwszych czynności przetwarzających: substancja płynna odchodzi do ścieków, tłuszcz idzie do specjalnych zbiorników, mięso i kości suszą się i walcują, aż w koniecznym rezultacie z ostatniego bębna wysypie się na sito brunatna mączka...

Tłuszcz, o którym wspomniałem, sprzedaje się na wyrób mydła i świec, a mączka na pokarm dla kaczek, kur, względnie używa się jako nawóz sztuczny.

W „rzeźni", w tem „campo psanto", stale panuje smród rozkładających się trupów, — lecz personel Zakładu, pracujący tu od szeregu lat, przyzwyczaił się już do tego odoru i godzinami pełni tam swój ciężki i tak mało sympatyczny obowiązek.

Zakład Utylizacyjny należał poprzednio do T-wa Opieki nad Zwierzętami, a od r. 1918 przeszedł do Magistratu m. st. Warszawy, który czerpie z niego pewien dochód.

Opowiadają, że dawniej psy niszczyło się sposobem wręcz barbarzyńskim: zabijano je poprostu kijami, zaś od roku 1914-go zaprowadzona została specjalna trutka, która aczkolwiek działała pewnie, jednak powoli, tak że w ciągu paru minut nieszczęśliwe zwierzątko wiło się w konwulsjach, podskakiwało do góry, przeraźliwie wyło, aż wreszcie ginęło w okropnych męczarniach.

Dopiero od roku 1927-go zaczęto stosować środek „humanitarny" w postaci fotela elektrycznego.

Kilka lat temu bezdomnych psów sprzedawano z licytacji, jednak błahy powód zmienił taki tryb postępowania, mianowicie: pewnego psa, sprzedanego z licytacji poznał na ulicy poprzedni właściciel, powstała awantura, posądzenie o przywłaszczenie, wzajemna obraza, protokół etc.

Rezultat — fotel elektryczny.

Niewątpliwie jednak, iż Magistrat nasz, niszcząc tak bezwzględnie psy, dużo na tem traci, gdyż z jednej strony sprzedaż psów z licytacji dałaby o wiele większy dochód, z drugiej zaś ten sam pies, uratowany od śmierci, przynosiłby dalszy dochód w postaci rocznego podatku.

Z punktu widzenia humanitarnego możnaby było też niecoś powiedzieć...

J. Ślepowron.



Instalowanie świeżego więźnia



Na „fotelu" elektrycznym


Nr. 25. Witold Gniewiński (Warszawa)


Nr. 26. Krysia Maksówna (Warszawa — Fot. Malarski)


Nr. 27. „Boguś" (Lwów)


Nr. 28. Ewunia A. (Warszawa)


Nr. 29. Irmina Kościńska (Warszawa — Fot. Malarski)

KONKURS NAJPIĘKNIEJSZEGO DZIECKA POLSKIEGO.
„7 DNI"
Kupon z Nr. 30-go.

Wydawnictwo „7 DNI" oraz fabryka znako

WIELKI

„NAJPIĘKNIEJSZE

WARUNKI

1) Fotografje konkursowe pięknych dzieci polskich w ilości nie większej nad dwa zdjęcia jednego dziecka nadsyłać winni rodzice lub opiekunowie pod adresem Wydawnictwa „7 DNI", ul. Marszałka Focha 2 w Warszawie, z dopiskiem na kopercie: „Konkurs Najpiękniejszego Dziecka Polskiego".

2) Format tych fotografij nie może być mniejszy niż 6 na 9 cm. Pożądane są fotografje wyraźne, czarno-białe, na glansowanym papierze. Fotografij w żadnym wypadku Wydawnictwo „7 DNI" nie odsyła — można je będzie natomiast odebrać po zakończeniu konkursu w Administracji „7 DNI".

3) Każda fotografja winna zawierać na odwrocie wyraźnie wypisane: a) imię, nazwisko i datę urodzenia dziecka, b) nazwisko i dokładny adres rodziców, oraz — w wypadku, gdyby Rodzice lub Opiekunowie nie życzyli sobie ujawnienia nazwiska przed finałem konkursu, c) odpowiednie zastrzeżenie i godło.

4) Do każdej fotografji należy dołączyć: a) odpowiedni kupon, wycięty z „7 DNI", oraz b) etykietę (opakowanie papierowe) 100-gramowej tabliczki czekolady „SUCHARD" z jednego z następujących gatunków: „VELMA", „MILKA", „MILKA AMERE", „MILKA NUT", „ST. BERNARD", JUBILEUSZOWA", „CAFOLA", „ORANGE", „VELNUT" lub „BITTRA", albo opakowanie 100-gram. paczki kakao „SUCHARD". Bez kuponu „7 DNI" i bez tego opakowania zgłoszenia nie będą ważne.

5) Termin nadsyłania zgłoszeń wraz z fotografjami, kuponami „7 DNI" i opakowaniami „SUCHARD" upływa nieodwołalnie dnia 1-go października r. b. o godz. 24-ej (o północy). Miarodajna jest data stempla pocztowego.

6) Czytelnicy „7 DNI" sami, na podstawie umieszczanych w „7 DNIACH" fotografij pięknych dzieci polskich wyróżnionych przez jury, wybiorą „Najpiękniejsze Dziecko Polskie", które otrzyma 1-ą nagrodę. Pozostałe nagrody rozdzielone zostaną stosownie do ilości głosów, otrzymanych przez dzieci, biorące udział w konkursie.

7) Specjalne jury kwalifikować będzie nadesłane fotografje do umieszczenia na łamach „7 DNI". Kontrolę nad plebiscytem Czytelników i rozdziałem nagród sprawować będzie notarjusz Mieczysław Różycki.

8) W skład jury konkursowego, kwalifikującego fotografje do umieszczenia na łamach „7 DNI", a tem samem do dopuszczenia ich do udziału w wielkim plebiscycie Czytelników „7 DNI", wchodzą pp.: Juljan Ejsmond, Tadeusz Gronowski, Kornel Makuszyński, Marja Modzelewska, Stefan Norblin, Jan Piotrowski, Zuzanna Rabska, Eugenjusz Rafalski, Jadwiga Kiewnarska (Well).


Nr. 30. Basia Neuman (Warszawa — Fot. Malarski)



Nr. 31. Bożenka Baturewiczówna (Warszawa)



Nr. 32. „Bobuś" (Bydgoszcz)



Nr. 33. Leszek Cyranowski (Warszawa — Fot. Malarski)



Nr. 34. Zbyszko Żarek (Tarnów)

mitej czekolady „SUCHARD" ogłaszają

KONKURS

DZIECKO POLSKIE"

NAGRODY

DLA MATEK NAJPIĘKNIEJSZYCH DZIECI:

1 Nagroda: 3000 złotych.
2 Nagroda: 1000 złotych.
3 Nagroda: 750 złotych.
4 Nagroda: Maszyna do szycia „Singera"
5 Nagroda: Aparat kinematograficzny Pathe Baby z kasetą, filmem i statywem
6 Nagroda: Gramofon „Dancephon" z 5 płytami.
7 Nagroda: Mebelki dziecinne z „Komispolu".
8 Nagroda: Aparat fotograficzny „Kodak".
9 Nagroda: Piłka skórzana do napompowywania z „Komispolu".
10 Nagroda: Wieczne pióro „Platignum" z „Komispolu".

UWAGA: Nagrody pieniężne będą wypłacone w postaci książeczek oszczędnościowych P. K. O.



Nr. 36. Zbyszek Bartkowski (Włodzimierz Wołyński)

DLA CZYTELNIKÓW „7 DNI"

(Nagrody poniższe zostaną rozlosowane wśród wszystkich Czytelników *„Siedmiu Dni"*, którzy wezmą udział w plebiscycie drogą nadesłania głosu na dziecko, zasługujące ich zdaniem na 1-ą nagrodę).

1 Nagroda: 2000 złotych.
2 Nagroda: Kompletny radjoaparat „Natavis" wartość 1500 złotych.
3, 4 i 5 Nagrody: po 500 zł.
6, 7 i 8 Nagrody: po 300 zł.
9 Nagroda: Aparat kinematograficzny Pathe Baby" z kasetą, filmem i statywem.
10 Nagroda: Aparat fotograficzny „Kodak"
11 Nagroda: 150 zł.
12, 13, 14 i 15 Nagrody: po 100 złotych.
16 do 24-ej Nagrody: wieczne pióra „Platignum" z „Komispolu".
25, 26, 27 i 28 Nagrody: piłki skórzane do na pompywania z „Komispolu".

Wszystkim dzieciom, biorącym udział w tym konkursie, znana fabryka czekolady „SUCHARD" nadeśle w podarunku paczkę kakao „SUCHARD", oraz piękny wielobarwny balonik.



Nr. 35. Jadzia Krzemieniewska (Siedlce)

BEZPŁATNE ZDJĘCIA KONKURSOWE.

Na mocy specjalnej umowy następujące pierwszorzędne Zakłady Fotograficzne dokonują bezpłatnych zdjęć dzieci naszych Czytelników, biorących udział w konkursie „7 DNI":
Warszawa — Jan Malarski, Chmielna 10; Kraków — Fot. „Janina", Starowiślna 21; Lwów— Zakł. Fot. „Grottgera", Akademicka 3; Zakopane — Fot. Schabenbeck Krupówki, Rabka — Fot. „Janina", Iwonicz i Rymanów — Zdrój — Fot. Grottger (ze Lwowa).

ZA NAJLEPSZY TYTUŁ 1000 ZŁ. NAGRODY

Wydawnictwo „7 DNI" ogłaszając w druku poniższą, najnowszą i specjalnie dla nas napisaną powieść utalentowanego pisarza, p. Stanisława Strumph-Wojtkiewicza, pozostawia P. T. Czytelnikom znalezienie do niej najodpowiedniejszego tytułu i w tym celu ogłasza odpowiedni konkurs z nagrodą 1000 zł. W skład sądu konkursowego wchodzą pp.: Juljan Eysmond, Juljusz German, Wacław Grubiński, Marjan Hemar, Tadeusz Kończyc, Jan Piotrowski, oraz autor tej powieści.

STRESZCZENIE POPRZEDNICH ROZDZIAŁÓW

Hala Liwska ukończyła pensję. Wypadkowe spotkanie i początek flirtu z Arturem Zaliwskim, otwierają przed nią nowe horyzonty. Hala coraz częściej przebywa w towarzystwie koleżanki Aliny, śmiałej i nowoczesnej panny. Młode panny odwiedzają dawną koleżankę, Molińską, która prosto z pensji wyszła w świat... w półświatek. Po zerwaniu z Zaliwskim rozpoczyna flirt z nowym, młodym człowiekiem, aż wreszcie, zapoznawszy się z kłopotami finansowemi Zaliwskiego, pożycza od ojca większą kwotę pieniędzy, by móc go uratować. Wiedziona instynktem Hala postanawia wyjechać i udaje się na wieś, do koleżanki Zośki, gdzie pierwszego już wieczora spotyka Reńskiego. Otrzymuje telegram wzywający ją do Warszawy. Na dworcu dowiaduje się, że Zaliwski został aresztowany i że musi go ratować. Natychmiast udaje się do urzędu śledczego, gdzie spotyka się z Zaliwskim. Ten daje jej cały szereg poleceń do regulowania spraw finansowych, które natychmiast załatwia. Spotyka się z Reńskim, z którym jedzie na obiad do Konstancina. Na drugi dzień spotyka się z Zaliwskim wypuszczonym w międzyczasie z więzienia. Zaliwski prosi o rękę Hali i zostaje przyjęty. Zaczyna się dla Hali okres narzeczeństwa. Po pewnym czasie następuje zerwanie i powrót do Reńskiego, który wreszcie porzuca Halę. Na widowni ukazuje się znów Zaliwski, który po kilku aferach pieniężnych ucieka zagranicę. Wyczytawszy to, papcio dostaje ataku sercowego i umiera. Hala chce sobie odebrać życie. Wreszcie wyjeżdża do Szwajcarji, gdzie spotyka się ze Steyrem. Powracają do kraju.

(28)

Steyr blednie.

— To był — to byli — powtarza — to cała historja —

Wszystkie kąty pokoju powtarzają z wrzaskiem — „byli".

Steyr gładzi główkę Hali. Ręka lata jak płomień na wichrze.

Rozpoczyna się długa, dręcząca opowieść. Pokój staje się z przytulnego i miłego — beznadziejną pustynią, po której błądzą upiory.

Głos Hali jest przerywany, podniesiony. Biała bezradna ręka podnosi się do serca, do krtani. Chwilami Hala patrzy a Steyra i szybko odwodzi spojrzenie. Już nie powoli płyną zdania.
Coraz pośpieszniej i gwałtowniej zwala Hala z siebie ciężar długo chowanej tajemnicy. — Masz,
masz i masz — jakby rzucała w Steyra ciężkie
głazy. Coraz niżej chyli się głowa mężczyzny, coraz boleśniej kurczą się i garbią ramiona. W końcu Steyr chowa głowę w dłoni i tak trwa — trwa.

Pedzi i galopuje opowieść. Hala mówi teraz jak w próżnię, gdyż nie widzi twarzy Steyrowej.
W niektórych momentach przerywa sobie,
żeby wypocząć przed większym wysiłkiem
szczerości. Czasem nabiera tchu i wyrzuca pośpiesznie: No więc — było i tak i tak.
Wiesz? wiesz — wiedz jacy oni są — wiedz
— tak było — i tak — i tak — i tak — o — ja niepotrzebnie tak kochałam...

Wtedy Steyr głaszcze ją palcami po ręku i krótki wyskok bólu przemija. Łagodnie zaczynają brzmieć — już nie wyznania, lecz zwierzenia. Nie fakty teraz — lecz dusza. Byłam — byłam lekkomyślna i jak chcesz— ale nie niedobra. Nie jestem zła! Nie jestem zła!!! Słyszysz — maleńki — o mój maleńki jedyny — czy nie przepadło wszystko? Powiedz, powiedz — czy mi wybaczasz? Och Boże — Boże — Boże?

— Mówiłaś mi wtedy, że mężczyzna nie ma w tych wypadkach nic do wybaczenia?

Jak wiruje ten nieznośny, straszny pokój

— Owszem ma! — woła Hala. Ma do wybaczenia! Nam niewolno poświęcać się żadnej przelotnej sprawie, nie oddawać się żadnym wpływom! Ty wiesz — wiesz już — ja nigdy nie kłamię — ja byłam tylko za dobra dla innych — o sobie nie pamiętając — i myślałam — że w tem moje szczęście. Ja nie wiedziałam, że my jesteśmy tak słabe — i że mężczyźni są tak podli.

Znów Steyr chowa twarz w dłoniach.

— Nie płacz — nie płacz — to straszne — mówi Hala — nie płacz, bo umrę z samego strachu, że — ty — ty — ty — przezemnie — słuchaj — ja się zabiję teraz — jeśli nie będę mogła żyć dla ciebie.

Steyr podniósł twarz surową i spokojną.

— Nie powiedziałaś wszystkiego — spojrzał jej wprost w oczy.

Zmieszała się i schyliła głowę. Piekący wstyd!

Tak — nie powiedziała wszystkiego.

Wyrzuciła to ostatnie z siebie jednym tchem.

Nie powiedziała tego, co świadczy źle o niej samej — że chodziła sama — i że to nie było tak, jak mówiła, tylko gorzej — ale już nie chcę mówić o tem, — nie chcę.

— Ty? krzyknął.

Zaczęła bełkotać.

— Ty? uniósł się — sama szukałaś — i zwalasz na innych — i mówisz o tem — że poświęcałaś się — w taki sposób —

— Daj słowo — daj słowo — że nic nie uczynisz szalonego —

Pochyliła głowę i upadła zemdlona.

Tego dnia wieczorem Steyr wsiadł w pociąg idący na zachód i znikł z Warszawy na dwa miesiące.

Od Hali niczego nie można było się dowiedzieć. Blada i mizerna ożywiła się w okresie zbliżającego się powrotu.

Hala pisała:

— Mój drogi (czy wolno mi tak cię nazywać? — dopiero teraz zdołałam zebrać myśli moje. Jeżeli masz dla mnie odrobinę prawdziwego uczucia, to wybaczysz i weźmiesz mnie taką, jaką jestem i ja wezmę na swoje sumienie życie i szczęście nas obojga. Dla mnie wszystkiem będzie szczerość twoja: wybieraj i decyduj, ale przedewszystkiem bierz siebie pod uwagę — o mnie nie należy tak bardzo dbać. Ja szczęśliwa będę wtedy, kiedy upewnię się, że ty jesteś szczęśliwy. Nie zniosłabym, żebyś był nieszczęśliwy — i to przezemnie. Życie moje przełamało się, zrozumiałam cały ogrom zła w którem brnęłam, chcę żyć spokojnie, mając na uwadze dobro tych, których kocham.... Chcę pomagać roślinom, aby rosły i kwitły pod moim okiem, chcę się poświęcać tym dobrym myślom, które pomimo zła, około którego przechodziłam, nie zatarły się. Pojęcie dobra i zła umiem odróżniać; czuję, że będę mądra w kierowaniu mojemi krokami i nadewszystko będzie mi chodziło o to, byś ty mógł powiedzieć o mnie: Halineczka była zła, lekceważyła sobie życie i postępowała jak chciała i była głupia, ale przyszedł moment taki w jej życiu, od którego zapragnęła żyć rzeczywiście szlachetnie, jak przystało na kobietę polkę, panienkę z dobrego domu i dobrego nazwiska. Chcę w każdym razie, abyś — nawet nie odpowiedziawszy mi na ten list — mógł mnie szanować. Modlę się, żeby nam dopomógł Bóg. Strasznie, strasznie odpokutowałabym, gdybym teraz utraciła ciebie — kiedy nareszcie naprawdę — głęboko kocham — i kiedy zrozumiałam, jak straszną krzywdę sama sobie i innym czyniłam.

— — — — — — — — — — — — —

W dzień przyjazdu Steyra długo się modliła przed swym ulubionym ołtarzem.

Potem kupiła mały i skromny — ale bardzo gustowny kapelusik...

Dom Steyrów stoi daleko od miasta — tam, gdzie kończy się asfalt i zaczyna szosa, biegnąca wśród nowych willi i starych ruder, między prostokąty dalekich pól. Tak chciał Steyr. Dawno upatrzył sobie to miejsce, z którego widać dalekie rzędy drzew po obu stronach drogi, drzew — które na horyzoncie, tam gdzie zakręca szosa, kłębią się zamętem zielonych mas, zimą zaś — zlewają się oszronione, widmowe kształty z białym kisielem śniegowych chmur.

Dom — a raczej domek Steyrów stoi wśród ogrodu, kwitnącego od wczesnej wiosny do późnej jesieni. Zimą, w bieli i ciszy, wołają ze wszystkich okien swym krwawym krzykiem krasne pelargonje. Tego znów chciała Hala.

Mają więc: dalekie wiraże dróg i perspektywę nieusłannych wędrówek — i ciszę — i spokój — i kwietne ukojenie. Mur i krata bronią obcym ludziom dostępu do domu Steyrów.

Steyr pracuje — jak nigdy. Są dnie i tygodnie, na które znika zupełnie — wyruszając — lub też wracając o wczesnym ranku. Na obiedzie jest jednak zawsze — pełen humoru, żartobliwych pomysłów i wydziwiań, za które kocha się go coraz bardziej. Po szalonych dniach wysiłku, przychodzą inne, najbardziej miłe dla Hali: Steyr jest wciąż w domu — i niczem nie jest zajęty i o nic się nie troszczy. Są wtedy nierozłączni.

Siła i bezwzględność, z jaką Steyr potrafi kochać, zadziwia i przestrasza Halę. Nie umie sobie dać długi czas rądy z nowem życiem swych uczuć Hala czuje się po pewnym czasie poprostu chora. Jest to jakby walka dwu sił, odbywająca się w niej samej — Hali wydaje się, że walczy o jakieś swoje prawa z czemś, co tym prawom zagraża. Z czemś — nie z kimś, bo przecież Steyr jest miły, najlepszy, zakochany. Hala walczy sama z sobą — i Steyr to widzi i uśmiecha się mądrze. Bestja! on wie wszystko — wie lepiej — kochany i podły (za ten uśmiech!) — niż sama Hala — co się z nią dzieje. Jest to walka o niezależność — walka — beznadziejna i śmieszna — z wielką przemocą miłości.

Hala dopiero teraz rozumie — co to jest miłość — i lękliwie kroczy drogą, którą iść musi. Chwilami zdaje się jej — że nie istnieje. Roztopiła się, znikła, poddała najsromotniej i najzupełniej Steyrowi. — lecz mężowi... I to też nie — poddała się samej sobie: rozkoszy, skuwającej członki; pragnieniom, rozrzucającym na cztery wiatry wszystkie tkanki organizmu; myślom i wrażeniom, które poświęcone są jedynie Steyrowi. Nietylko zresztą Steyrowi — o wstydzie niewieści kochanemu kapeluszowi Steyra, najdroższym butom Steyra; pulowerowi, przez który zgaduje się kształt męskiego ramienia; cygarniczce — znającej niezapomniany smak jego ust.

Można o niczem innem nie myśleć, tylko o sprawach i rzeczach i myślach Steyra i o nim samym. Wkrótce Hala jest tak tem pochłonięta, że nie ma czasu na nic innego. O rozpaczy — zapomniała raz podlać suche kwiatki — tylko dlatego — że nie wiedziała: czy Steyrowi podobają się raczej naleśniki z serem na słodko — czy nie na słodko. Już się to nie powtórzy. Hala spisała swe dzienne czynności i załatwiała wszystko regularnie i porządnie, tak — jak sobie zawsze postanawiała, tak, jakby sto matek i babek odrazu oddały jej całe swoje domowe doświadczenie. Nie przeszkadza to jednakże bynajmniej w zdarzaniu się sytuacji zabawnych (dla Steyra — on ze wszystkiego się śmieje).

— Ile cukru i pieprzu—pyta ekspedjentka Halę, załatwiającą osobiście sprawunki.

— Chyba po dwa kilo — dpowiada. Hala, kombinując jednocześnie dwie troski: żeby były duże zapasy wszystkiego w domu i żeby dziś jeszcze doczytać do końca ostatnią powieść Chestertona, bo Steyr napewno zażąda, żeby mu coś nie coś o tem powiedziała. — Co ja zrobię z tym pieprzem — martwi się potem Hala.

Przychodzą zaczarowane tygodnie.

Przeszłość znikła i nigdy nie powinna odżyć. Perypetje panieńskie wydają się Hali historją obcą, nieprawdopodobną. Czy naprawdę istnieli: Reński i Zaliwski — i czy grali jakąkolwiek rolę w życiu Hali? Nie. Hala uważa, że nie grali żadnej roli. Zresztą — choćby wspomnienia miały w swym gruncie rzeczywistość — to jakże mizerna, śmieszna, niegodna uwagi była ta rzeczywistość. Jednak Hala jest prawie przekonana, że to chyba nie ona, nie Hala Liwska, lecz jakaś inna panna — kochała, cierpiała, pragnęła umrzeć i straciła wszelką nadzieję na dobrą poczciwą przyszłość. Życie właściwe Hali zaczęło się od Steyra . Miłość najpiękniejsza — bo małżeńska; namiętność najsilniejsza, pozbawiona skrupułów i obaw; zależność najbardziej pochłaniająca — bo zależność od mężczyzny, któremu można i należy ufać, stworzyły nową, prawdziwą Halę. Taka jak dziś — chciała być zawsze — od dzieciństwa. Odnalazła w chaosie poplątanych dróg swój właściwy, prosto w słoneczne szczęście biegnący tor. Steyr był jej przeznaczony oddawna — chociażby dlatego, że taki podobny do brata Adama. Pani Liwska, nareszcie szczęśliwa i spokojna o córkę — potwierdza to i sama kocha Steyra — jak syna. Wszystko jest zatem w porządku — trzeba tylko trochę przymknąć oczy i trochę umieć nie myśleć.

Czasem uderzy jednak w Halę wspomnienie zbyt konkretne. Wtedy pośpiesznie ucieka do innych myśli, do pracy. Zbyt wysoko nosi Hala sztandar swej wartości, żeby rozważać sprawy poniżające. Niech inne kobiety będą dla siebie zbyt pobłażliwe i tłomaczą się, że „człowiek, jest tylko człowiekiem". Hala chce być idealnym nadzwyczajnym człowiekiem. Wyskoczyć ze swej przeszłości — oto sztuka!

W tem dążeniu najbardziej pomocna jest praca.

W całem domu znać rękę Hali — nie tej śpieszącej się i rozlatanej Hali z przed paru lat—lecz Hali mężatki—Hali kobiety. Przedewszyst kiem biurko Steyra: biurko wyczyszczone, zapałki i papierosy w przyrządzie, kałamarze wymyte. Zresztą zaczęte szkice i rachunki nie ruszone — i nic niepotrzebnego na biurku — bo tak lubi on: jakiś tam krysztalik, wazonik, ramka, przycisk, kwiatki stać mogą — bo czyż przeszkadzają? W szafach i kredensie poustawiane równe rzędy i sterty bielizny i naczyń; kuchnia lśni czystością; służące mają zawsze czyste fartuszki i ręce. Ze służbą polityka krótka, ale wypróbowana: Hala poprostu oczarowała obie: młodą i starą — i teraz lecą na wyścigi, żeby z kolei ją oczarować. — Ty nie potrafisz żyć bez flirtu — żartuje Steyr.

— Taka to jestem — chytra — mówi do męża, wśród pocałunków zwierzając mu swoje domowe sprawy.

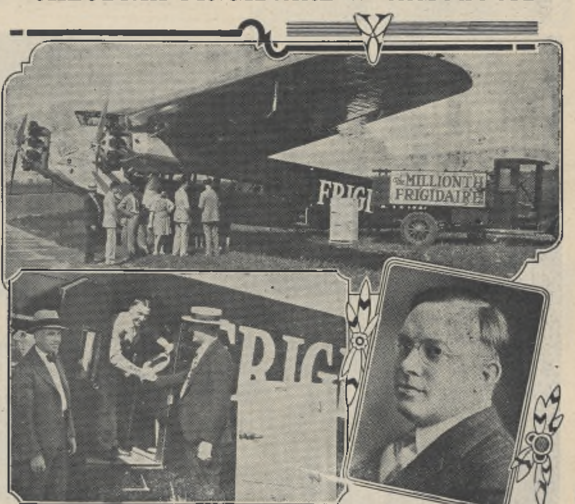
Sprawa pocałunków i całej reszty przedstawia się tak, że Hala woli o tem wszystkiem nie myśleć: poprostu nie wypada. Któż mógł się spodziewać — przecież nie Hala — tego wszystkiego. Steyra zaczęła kochać, gdy wydał się jej mniej niemiły, niż inni. Dlaczego jednak sytuacje, które wydawały się Hali beznadziejne w swym wstrętym i niemiłym wyrazie — stały się teraz sytuacjami „najmilszemi". Trudno to może wyznać — ale Hala jest nieprzytomna i *chce być* nieprzytomna! Jaknajbardziej — jaknajczęściej! Steyr ma chyba coś boskiego lub djabelskiego w sobie! Nie można nic poradzić, nie ma najmniejszej rady na ten głos, który nieustannie woła Halę do Steyra.

Steyr jest biały, nie zanadto — muskularny — i najzupełniej zgrabny. Dawniej zdawało się Hali, że tylko kobieta może być piękna. Teraz okazało się, że oprócz pięknych kobiet — jest piękny także i — Steyr. Dlaczego Hali tak trudno jest odrywać wzrok od męża, wyprawiającego co rano dzikie gimnastyki? Czemu — niby mimowoli — pozornie odwracając wzrok, lubi (o bardzo lubi!) zastać go w łazience pod pryszn cem — lub też w sypialni, gdy po powrocie do domu przebiera się zupełnie inaczej. Odpowiedzi się nie szuka — przychodzą same. Od odpowiedzi tych piękniejе coraz bardziej Hala, jeszcze bielsza od męża; Hala nieprzytomna, Hala kochająca słodko i gwałtownie zarazem, Hala wiecznie przełamująca swój wstyd, Hala — ukrywająca napróżno całą masę uwielbień, Hala kochająca coraz bardziej siebie— teraz już tylko dlatego, że jest cała — calutka — Steyrowa.

Jest to olbrzymie, największe szczęście · Hala wie napewno — należeć do Steyra i mieć go dla siebie. Wszystkie inne kobiety są naprawdę trochę biedniеńkie, gdyż nie mają pojęcia o tem — co to Steyr i co to — szczęście prawdziwe, Haline.

(d. c. n.)

CHŁODNIA FRIGIDAIRE W SAMOLOCIE



Wielkiem wydarzeniem w historji jednego z najpotężniejszych koncernów amerykańskich — Frigidairo Corporation, wchodzącego w skład słynnego na całym świecie koncernu samochodowego — General Motors, było wypuszczenie na rynek miljonowej chłodni automatycznej „Frigidaire".

Fotografja przedstawia miljonową chłodnię Frigidaire przed załadowaniem na samolot, który ma ją odwieźć do Atlantic City na Wystawę Krajową. Samolot prowadził znany w świecie lotniczym pilot, porucznik, J. A. Macready, który w swoim czasie dokonał trzech rekordowych lotów, a obecnie jest na służbie w Frigidaire Corporation.

Dolna fotografja z lewej strony przedstawia lotnika, p. Macready, wymieniającego pożegnalny uścisk dłoni z przedstawicielem koncernu Frigidaire na chwilę przed startem samolotu do miejsca przeznaczenia.

Stosownie do opinji generalnego dyrektora powyższego koncernu, p. Biechlera, przedstawionego na fotografji, do przewiezienia dziennej produkcji lodu, wytworzonego przez miljon chłodni elektrycznych „Frigidaire" będących obecnie w użyciu, potrzebaby było użyć 62.000 dwutonowych samochodów ciężarowych. Jeśli przyjąć pod uwagę, że przeciętna rodzina zużywa w ciągu roku 25 funtów lodu, to powyższa ilość wystarczyłaby dla 9.600.000 rodzin na cały rok.

O wielkiem zapotrzebowaniu na automatyczne chłodnie elektryczne „Frigidaire" świadczy fakt, że wszystkie fabryki koncernu „Frigidaire" pracują dzień i noc ze wzmożoną siłą przy zwiększonej produkcji o 20% w stosunku do ich normalnej wydajności. Wypuszczone przed kilkoma laty chłodnie elektryczne Frigidaire były początkowo przystosowane tylko do użytku domowego, poczem, w miarę wzrostu zapotrzebowania, przystosowano je również do celów przemysłowych. W roku 1922 chłodnie te były wyrabiane tylko dwuch zasadniczych typów, dziś jest 27 modeli chłodni domowych, z których najmniejszy kosztuje obecnie 5 razy taniej, niż 7 lat temu.

„Zabawki dla warszawki"

PREMJERA W „MORSKIEM OKU"

Mała rewja letnia „Zabawki dla Warszawki".
Na widowni:
Bodo, Olsza, Gabrieli, Sokołowska, Bukojemska, Halamy in corpore.
Na scenie:
Ninka Wilińska, Rita Garel, Stanisław Sielański, Władysław Kucharski...
— dużo, dużo wody —
— i —
...jedynaczka Zula.



Po stronie lewej: Zula Pogorzelska, znakomita „jedynaczka" ostatniego programu „Morskiego Oka". W owalu po stronie prawej — Ninka Wilińska, małoletnia „commere", demoralizująca publiczność pieprznemi kawałami, mocno rażącemi w jej dziewczęcych usteczkach. U dołu — wesoły drugi finał rewji. (Fot. St. Brzozowskiego).

SIEDEM DNI NASZEGO CZYTELNIKA

KALENDARZYK TYGODNIOWY

18 N Firmina
19 P Marjana
20 W Bernarda
21 Ś Joanny
22 C Symforjana
23 P Filipa
24 S Bartłomieja

WSZECHSŁOWIAŃSKI ZJAZD PSZCZELARZY I WYSTWA PSZCZELNICZA NA P.W.K.

W połowie sierpnia rb. odbędzie się na terenach P. W. K. (Dział rolniczy, teren E w ślnym pawilonie — przy arenie) Wszechsłowiański Zjazd Pszczelarzy i Wszechsłowiańska Wystawa Pszczelnicza.

Podczas zjazdu wystawiać będzie się: pod gołem niebem, a) matki pszczelne w ulikach, b) pnie w grupach po cztery, to znaczy: wystawia się z jednego typu 4 ule, 2 lub 3 z pszczołami i jeden lub dwa puste. Pojedyńczych pni z pszczołami nie przyjmuje się. Ule muszą być zaopatrzone w daszki i stragany, plastrach za szkłem i w w pawilonie, a) miód w słoikach, b) przetwory z miodu (wina, pierniki, kosmetyki), c) wosk, d) przetwory z wosku (sztuczna węza), e) ule puste, f) przybory pszczelnicze, g) literatura, pomoce naukowe, choroby pszczół, szkodniki pszczół wykresy i statystyki, historja pszczelnictwa, h) rośliny uprawne, ogrodowe, dziko rosnące drzewa miododajne.

DELEGACJA CZESKA NA ZJAZD HOTELARZY W POZNANIU.

wiański hotelarzy w Poz-
Na zjazd wszechsłonaniu, który odbędzie się w dniach od 16-go do 18 go sierpnia, przyjeżdża również delegacja czeska, w której najliczniej reprezentowane będzie Brno.

TEATR

NARODOWY:
„Grube ryby".

LETNI:
„Gorączka nafty"

POLSKI:
„Artyści"

MAŁY:
„Para nie para"

MORSKIE OKO:
Rewja „Zabawki dla Warszawki".

RADIO - OGRÓD PHILIPSA:
Codziennie koncert — dancing od 17 do 22-ej.

QUI - PRO - QUO:
Występy teatru krakowskiego „Gong".

KINO

Apollo: „Znajoma z pociągu i „Riff nareszcie sam".

Stylowy: „Królowa nocy".

Filharmonja „Zły czar" i „Obrońca w masce".

Capitol: „Zeppelin w płomieniach".

Palace: „Pocałunek kochanki".

Colosseum: „Ten, z którego się śmieją".

Splendid: „Kiedy kobieta kocha" i „Żongler miłości".

Światowid: „Życiowe rozbitki".

Wodewil „Godzina flirtu i „Rycerze ognia".

Układy i rysunki wykonał L. Chejfec.



Pałac kolonialny na wystawie w Barcelonie. (Atlantic)

Wystawa w Barcelonie

(Korespondencja własna „7 DNI")

Barcelona, w sierpn'u 1929.

Wystawa w Barcelonie sprawia imponujące wrażenie. Urocze miejsce, na którem została rozbudowana na malowniczem wzgórzu Montjuich, dominującem nad miastem — została zamieniona przez legjony inżynierów, architektów i ogrodników na czarujący Eden, będący jednocześnie największym parkiem na świecie. Teren tego parku obejmuje 1.183.000 m. kw., z czego 310.680 m. kw. przypada na ogrody.

Wystawa podzielona jest na trzy główne grupy: przemysłową, sztuki i sportu. Każda z nich rozmieszczona jest w kilku wspaniałych pałacach, zawierających eksponaty poszczególnych działów.

Firmy zagraniczne, wśród których przeważają niemieckie oraz nie mało firm egzotycznych, rozlokowane są w pałacu im. Królowej Victorji Eugenji.

Jednym z najciekawszych działów wystawy jest ten, w którym zgrupowano z pjetyzmem i wielką ścisłością historyczną sztukę i zabytki archeologji Hiszpanji. Pałac przeznaczony na ten dział imponuje swoimi rozmiarami i pysznem wykończeniem. Przestrzeń jego obejmuje 82.000 m. kw.

W pałacu tym przeznaczono również miejsce na olbrzymią salę recepcyjno - balową. Nie mniej 20.000 osób może się tu najzupełniej swobodnie poruszać. Sztuka nowoczesna mieści się w oddzielnym pawilonie, zawierającym niezmiernie ciekawe dzieła z dziedziny malarstwa, rzeźby, architektury i zdobnictwa, świadcząca o wysokim poziomie talentów hiszpańskich. Obok mieści się również wieś hiszpańska, stanowiąca interesujący zespół domów i zabudowań wiejskich z różnych dzielnic kraju.

Trzecim działem wreszcie jest sportowy, dla którego wybudowano olbrzymi stadjon na 60.000 widzów, boiska, place tenisowe i do gier baskijskich, pawilony dla boksu, szermierki oraz wielki basen pływacki.

Podkreślić należy z uznaniem wielką gościnność, okazywaną dla dziennikarzy. Przeznaczono międzynarodowej „braci" od pióra specjalny pawilon, zawierający wszelkie urządzenia dla pracy zawodowej.

Zwiedzamy ponadto rzadko spotykaną imprezę, obrazującą pracę kulturalną misji. Wśród licznych eksponatów spotykamy wiele złych, które wystawiono w swoim czasie w Rzymie.

Jednem z najciekawszych widowisk wystawowych jest teatr grecki, utrzymany w czystym stylu antycznym.



Wieś hiszpańska na wystawie w Barcelonie. (Atlantic)

Oto w krótkich słowach pobieżny zarys wystawy. Tysiące ludzi dziennie ściąga z całego świata do Barcelony, śpiesząc tłumnie na teren. W tramwajach, na linjach autobusowych i w specjalnie zbudowanej kolei podziemnej panuje niesłychany ścisk. Bujni południowcy przyczyniają się znakomicie do stworzenia podnieconego nastroju. Jeno w nocy, gdy wystawa zajarzy się cudnemi światłami — milkną tłumy, spozierając na piękną iluminację z zapartym tchem.

Wysiłek, który dokonali dzielni Hiszpanie zasługuje doprawdy na szczerą pochwałę.

Jadwiga Kurleto.

Pałac Narodowy, mieszczący dział sztuki i archeologji hiszpańskiej jest rzęsiście iluminowany wieczorami i wzbudza ogólny podziw tysiącznych rzesz zwiedzających wystawę w Barcelonie

„7 DNI" wychodzi co czwartek w Warszawie — Krakowie — Poznaniu — Lwowie i Wilnie
Prenumerata kwartalna: 5.50; półroczna 10.50; roczna 20 zł. wraz z przesyłką. Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Marszałka Focha 2.
Tel. 525-85 i 72-85. Konto P. K. O. 19.447. Przedstawicielstwo na Francję: L. Sładowski, 98 Bd Blanqui, Paris, XIII.
Administracja nie przyjmuje zastrzeżeń w sprawie lokowania ogłoszeń i nie odpowiada za terminowy ich druk.
Ceny ogłoszeń: cała strona zł. 1.200, ½ strony zł. 600, mniejsze podług ilości milimetrów. 1 m/m 1 szpaltowy zł. 1.50, układ 3-szpaltowy.
Klisze ogłoszeniowe zajmujące więcej niż szerokość 1 szpalty są liczone jako dwuszpaltowe, zaś więcej niż 2 szpalty — jako 3 szpaltowe.
Redaktor naczelny przyjmuje interesantów w lokalu redakcji: w poniedziałki, środy i czwartki od godz. 10 do 12-ej, we wtorki i piątki od godz. 18 do 19-ej. (Oprócz dni świątecznych).
Redaktor naczelny: JAN PIOTROWSKI Kierownictwo: BOLESŁAW KARNISZYN Wydawca: BOLESŁAW KARNISZYN i S-ka Sp. z ogr. odp.
Sp. Akc. Zakł. Graf. „Drukarnia Polska", Warszawa, Szpitalna 12. Tel. 172-29 i 117-98.